

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 28 września 1947 r.

Nr 39 (96)

TREŚĆ NUMERU: St. Podlewski — Sieć zamknięta, M. A. Wasilewski — „Życie Prawdziwe“, F. Landsdorf — Ustroje polityczne w świetle biologii, J. Ficowski — Piosenka dla Ity, Wł. Wnuk — W obronie regionalizmu, M. Ricard — Na drugiej półkuli, L. Szaflarski — Lekcja polemiki, St. Kisielewski (Kisiel) — Zbrodnia w dzielnicy północnej, Socjalizm angielski w ogniu krytyki, Szeroki horyzont, Odpowiedzi Jakimiaka

Zygmunt Wasilewski

ODDECH ZIEMI

(Dwaj pisarze regionalni — Stefan Żeromski i Adolf Dygasiński)

I.

Przede wszystkim co do Żeromskiego. Nie powiem o nim nic nowego, czego bym nie opowiedział już w rocznikach „Pamiętnika Koła Kielczan“ lub w książce, pt. „Wspomnienia o Janie Kasprowieczu i Stefanie Żeromskim“. Zналиśmy się od dzieciństwa, jako sąsiedzi, spotykający się w klasztorze św. Katarzyny pod Łysicą, a potem jako koledzy szkolni, obaj bowiem, choć czasem w różnych klasach uczęszczałmy się w tym samym gimnazjum kieleckim. Spotkaliśmy się potem w Warszawie, kiedy Żeromski uczęszczał do szkoły weterynaryjnej, a od r. 1892 do lipca 1894 r. pracowaliśmy razem jako bibliotekarze w Rapperswilu. Później drogi nasze nieco się rozeszły, gdy Żeromski pod wpływem nowych przyjaciół został socjalistą, ale dawnego serca dla siebie nie straciliśmy. Z wielkim żalem żegnałem go leżącego na marach. Miałem więc możność poznania Żeromskiego dość dokładnie, nie mam jednak zamiaru charakteryzować i oceniać jego twórczości, wydobędę tylko je den rys, który tłumaczy rolę jego jako pisarza regionalnego. Zagańnienie to wygląda tak: dlaczego Żeromski, pomimo że został, jak powiedziałem, socjalistą, musi być zaliczony do pisarzy narodowych, jako spadkobierca poetów okresu romantycznego?

Musimy się cofnąć z górą sto lat w dzieje naszej literatury, aby sobie przypomnieć, jak to Maurycy Mochnacki określał znaczenie literatury narodowej. Według niego literatura danego narodu jest procesem psychicznym, w którym społeczeństwo dochodzi do świadomości swego bytu jako osobowość narodowa.

Literatura w swoim całokształcie wypowiada swoje przeświadczenie kartezjuszowskie: „myślę, więc jestem“. Że ta formuła jest trafna, dowodem dzieje literatury naszej XIX wieku. Były przecież po romantykach rozmaite ideologie wśród pisarzy, a jednak wszystkie składały się na jeden ewolucyjny nurt myśli narodowej. Bo np. czyż pozytywści pomimo skłócenia z romantykami nie byli wiernym ich potomstwem?

Żeromski — wolnomyśliciel, socjalista spod znaku Marksa, w utworze poświęconym puszczy na Łysicy nie myśli o tym, jakby można zażytkować ten budulec z

korzyścią dla proletariatu; jego dzieło jest hymnem na cześć puszczy jodłowej jako własności na rodu i Boga. Zachowałem w swym pamiętniku następującą cytację z „Puszczy Jodłowej“. Żeromski witając po pierwszej wojnie światowej swoją okolicę pisze te słowa:

„Stój oto wciąż dom Boży. Wiadąc ze wszechstron białą jego wieżę w dolinie fiołkowej od lasów, co z dała i z bliska ciągną ku niemu wielkimi pasmami. Jest jakby zwornikiem, w jedność ujmującym wielorakie pustkowia. Oko przebiega z obszarów i spoczywa na jego białym kształcie, a wyrzeźbiony w żrenicy, zachowuje w sercu na zawsze.

Żyj wiecznie, świątńco, ogrodzie lilii, serce lasów! Przeminięły nad tobą czasy złe, złane ludzką krwią. Ciągną inne, inne! Lecz klódź może wiedzieć czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyją drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzeni macierz jodłową, na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu lub czyjogoś

niezbędnego zysku. Jakiebądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców, poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: — Nie pozwalam! — Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym święty jeleni chodzi — jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i pieśń wieczności! Puszcza jest niczyja, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno Boża, święta!“

Czymże jest ten hymn, jeśli nie zwycięskim triumfem nad wszelką doktryną materialistyczną? Poeta zawarł porozumienie społeczeństwa z ziemią, nie społeczeństwa jako konsummu. Pochwylił słowa poety „region świętokrzyski“ i wypisał je od siebie już nie na papierze, lecz znakami symbolicznymi jako przysięgę. Bo oto wkrótce młodzież kielecka wmurowała przy drodze do Kielc kamień, na którym wyryla owo hasło poety (r. 1930). A wkrótce potem kapelan klasztoru św. Katarzyny dał inicjatywę wzniesienia

na szczycie Łysicy wielkiego krzyża, na którym napis brzmi:

Nieśmiertelnemu Królowi
Wieków

Jezusowi Chrystusowi
Bogu Człowiekowi
Cześć i chwałę głosi
Puszcza Jodłowa.

W dniu 13 czerwca 1930 r. przy okazji odpustu w miejscowym kościele nastąpiło uroczyste poświęcenie tego krzyża. Na szczycie góry podczas mszy św. wzniesiona Hostia błogosławiła okolicy i całej Polsce. Jest to niezwykle w dziejach literatury porozumienie poety z ziemią ojczystą.

II.

Nieco wcześniej od Żeromskiego, w tymże regionie świętokrzysko - kieleckim wysunął się na czoło literatury polskiej Adolf Dygasiński. Zapytajmy retorycznie na sposób Mochnackiego: czegoż szukał ten przyrodnik na ziemiach Bolesława Chrobrego? Czy materiałow naukowych jako zoolog, biolog, antropolog lub etnolog? Dygasiński szukał objawów życia

w ogóle, czcicielem był życia, pragnącym dotrzeć wyobraźnią poetycką do istoty tego cudownego zjawiska. Znajdziemy potem jego następcę w poecie Kasprowieczu. Znajomiliśmy nas z życiem gniazda ptasich, zwierząt, wreszcie ludzi w stanie pierwotnym, aż wreszcie doszedł do syntezy w postaci dzieła „Gody Życia“. Zwano go polskim Kiplingiem, a nawet szacowano go wyżej, bo gdy tamten operował pojęciami abstrakcyjnego gatunku, to nasz Kipling potrafił wczuć się w życie duchowe stworzenia indywidualnego. Tłumaczy się to zapewne tym, że nie była to jedynie wyobraźnia mózgowca naukowego, lecz człowieka uczuciowego, zdolnego przywiązywać się do zjawiska konkretnego. Mamy na to dowód choćby w powieści o psie Asie. Dygasiński znalazł swoją dźwignę gdzieś w dolinie Pradnika, gdzie zaczarowała go odwieczna dawność ziemi. Szedł za głosem tej dawności w głąb wieków, miał wrażenie jakiejś muzyki w „oddechu“ tej ziemi, jakiejś muzyki, jakiejś „pieśni wieczności“. Szukał w tej pieśni nie tyle melodii słowika wirtuoza, ile harmonii i rytmu. Dlatego za przewodnika wziął najmniejsze i najcichsze stworzonko — ptaszka mysikrólika, aby tym lepiej wsłuchać się w ten cudowny głos dawności. W rezultacie to, co słyszał, było jakby rozwinięciem idei religijnej całego Karpińskiego: „Tobie ziemie, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki, bądź pochwalon, Boże Wielki“. Na to przyszło owemu do niedawna darwinistom i wyznawcy Spencera. Zdobył poetę oddech ziemi!

Przeczytano mi właśnie w czasopiśmie „Twórczość“ (listopad 46, zeszyt 11) rozprawę profesora historii literatury Wacława Borowego pt. „O Godach Życia Dygasińskiego, jedna z legend krytyki literackiej“. — Na str. 98 prof. Borowy pisze: „Trudno o bardziej jasny przykład legendy w zakresie krytyki literackiej. Weźmy bowiem „Gody Życia“ do ręki, otwórzmy i po prostu, nie poddając się sugestii autorytetów, przeczytajmy, a przekonamy się, że utwór ten nie tylko nie jest arcydziełem, nie tylko daleki jest artystycznie od kiplingowskiej „Księgi Puszczy“ — ale — przeciwnie — jest chyba jedną z najniebezpieczniejszych pozycji w rzedzie dzieł Dygasińskiego: nie poetycką w po

Wytyczne

Tajemnica Kościoła

Ustawiczne wcielanie się Zbawiciela jest wieczną tajemnicą Kościoła. W Chrystusie łączyły się dwie natury — był człowiekiem i był Bogiem. Tak samo w Kościele łączą się bezustannie dwa światy: niewidzialna rzeczywistość i widzialna społeczność — wspólnota wiernych. Jeżeli się zapomni o jednym z tych czynników, przekreśla się istotę Kościoła. Widzialna organizacja: instytucje, hierarchia, sakramenty są funkcją objawienia Chrystusa na ziemi, bez nich Kościół przestaje być ciałem. Ale, przeciwnie, poprzestając na organizacji prawnej, zatrzymać się przy zewnętrznych pozorach, to znaczy zastąpić Ciało Chrystusa trupem Kościoła.

Wzniosła jest tajemnica Kościoła. W każdej chwili Kościół jest i staje się zarazem. „Jest“ bez zmian, w doskonałej oczywistości swego nadnaturalnego charakteru, „staje się“ w zmiennej rzeczywistości każdego wieku, jako widzialna ludzka organizacja. Ponieważ Kościół jest ciałem — wyjaśnia Leon XIII, jest dosłownie dla oczu; ponieważ jest Ciałem Chrystusa jest żyjącym, czynnym, pełnym ziarna przyszłości. Jest ożywiony przez Odkupiciela, który przesyca go swą Boską naturą, podobnie jak szczyt winorośli żywi i czyni urodzajnymi łączące się z nim gałęzie. W organizmach żyjących zasada życia jest niewidoczna i ukryta w głębi istnienia, ale przejawia się przez ruch i czynności ciała. Podobnie zasada życia nadnaturalnego, które ożywia Kościół, ukazuje się naszym oczom przez dokonane przez niego czyny.

Wyjątek z listu pasterskiego J. E. Kardynała Suharda, Arcybiskupa Paryża.

myśle, bezkształtną kompozycyjnosc i stylistycznie, pełną spekulacji umysłowej i to niekonsekwentnej. Przyjrzyjmy się dokładnie: „Gody Życia” zaczynają się w to nie humorystycznej groteski... itd.

Prof. Borowy wymienił i mnie jako jednego z twórców tej „niefortunnej legendy”. Nie śmiem się spierać z uczonymi tej miary. Być może ma on swoją rację. Co do mnie, wygłaszając we Lwowie odczyt o Dygasińskim z powodu jego śmierci (rok 1902), występowałem nie w charakterze „konesera” estetycznego, lecz jako dziennikarz, łowiący silnie wszelkie odgłosy oddechu ziemi polskiej, przejawiające się w literaturze. Chodziło bowiem memu pokoleniu nie tylko o jubilejski kunszt współczesnej literatury, ile o dowody, czy żyjemy i czy żyć będziemy. Bo były to czasy niewoli i wsłuchiwalimy się w poetów, jakie jest samopoczucie narodu. Byliśmy nie tyle „koneserami”, ile historykami literatury. Cytowany przez prof. Borowego Przesmycki był co prawda i w tym wypadku koneserem, bo zbliżywszy się przez młodych (Lemański, rzeczobiar Ostrowski) miał nadzieję, że pozyska Dygasińskiego dla „Chimery” i znajdzie w nim hołdownika zasady „sztuka dla sztuki”; uzyskał nawet obietnicę czy rękopis utworu „Dęby”.

„Chimery” zresztą po wyjeździe z Warszawy nie widziałem i artykułu Przesmyckiego nie znam. Co do mnie, wzruszył mnie liryzm, którym Dygasiński pokonywał swoją brawurę pisarską, stając nad Prądnikiem przed zjawiskiem odwiecznego życia pokorny, jak mysikrólik. To nie był dydaktyzm filozoficzny; on sam się uczył i to od prostaczków „czucia i wiary”. Pamiętam, jak ten jowialny pisarz chwalił się, że kapelusznik na jego głowie jest kapeluszem chłopca, który się z nim za mienił gdzieś nad Prądnikiem na znak braterstwa.

Tam usłyszał słowa Chrystusa we, pełne otuchy:

„Życie zła, medoli wszelkiej jest doczesne i na śmierć skazane...”

Cisi i cierpiący — oni po wsze czasy są nasieniem wielkości — niech wzniosą głowy i spojrzają w Niebo”.

III.

Wyżej opowiedziane epizody twórczości obu pisarzy naszego regionu robią wrażenie jakby młynów, którymi odprowadzana jest z rzek woda na użytek, techniczny, młynówek, które jednak łączą się znowu w wierną rzekę. Tak się dzieje i w literaturze naszej. Wdzieliśmy, że młynówka Żeromskiego socjalistyczna znikła, ścia gnęta na powrót w łożysko poezji romantycznej, to samo stało się pod koniec życia z młynówką Dygasińskiego, odprowadzoną na użytek realizmu zoologicznego. Stało się to zjawisko prawem w naszej literaturze, nadającej przyczynę na stulecie XX-te.

Już wielki pisarz Bolesław Prus zapowiedział to prawo w haśle, które wyrwał się z jego pierś: „Ziemia, człowiek prosty i Bóg”. Było to hasło wielkiego przeobrażenia ducha narodowego, które się dokonywało pod koniec wieku. Wszystkie doktryny społeczne czy naukowe ustępowały z drogi kultowi życia. Zachodzi pytanie: jakie były przyczyny tej zmiany samopoczucia narodowego? Po okresie zwiątpienia i marazmu, spowodowanego klęską po

wstania, nastąpiło w największej dzielnicy Polski wskutek uwłaszczenia włościan wezbranie otuchy: przybyło narodu, właśnie do rastalo pierwsze pokolenie ludzi już wolnego. Ono to sprawiło, że pisarze, odczuwający wrażliwie wszelkie drgnienia jak sejsmografy, znaleźli dla siebie nowy kierunek zainteresowań. W takich drgnieniach rodzi się w literaturze prymat „czucia i wiary” ponad wszelkie doktryny. Dzieje się to nie tylko w poezji, ale i w piśmiennictwie politycznym, w nauce (etnografia, socjologia), w powieści. Ten niewidoczny dla profana przyrost sił sprawia, że rodzą się nowe talenty, takie, jak Reymont, których całą genialnością jest owa zdolność wyczuwania tętna życia. Istnieje więc jakaś siła psychiczna w narodzie, która harmonizuje indywidualne natchnienia i ściąga je w jeden nurt, dający taki efekt, jakby istotnie naród był zbiorowym twórcą jednej księgi, zwanej literaturą. Ten nurt łączy się swymi wątkami z twórczością nowego pokolenia i ją wyraża w sposób dia historyka widoczny.

Przecież twórczość poety Kasprowicza w zaborze pruskim rodzi się z tego samego oddechu ziemi nad Goplem i rychło zamienia

się w uroczysty hymn: „Święty Boże, Święty Mocny”, obejmujący całą Polskę. W Małopolsce zaś u stóp królewskiego Wawelu łączy się z wspomnianymi poetami głos wielkiego artysty Wyspiańskiego, który, jak nikt dotąd w literaturze, wyczuwał fizycznie oddech ziemi i słyszał łopot skrzydeł czasu.

Czym się to zjawisko w historii literatury tłumaczy?

Oto naród, mierząc swe siły według naczelnej idei swego bytu, poczuł, że zbliża się czas zjednoczenia i wolności. Wszystko świadczyło o odradzaniu się Polski, o tym, że zrodziła się jakaś nowoczesność, świadomość polityczna snuła myśli nowoczesnego Polaka, grupy literackie dostawały nazwę „Młodej Polski”. I rzeczywiście w krótkim czasie odzyskaliśmy zjednoczenie i wolność.

Była więc jakaś celowość i w życiu, i literaturze.

Następne pytanie byłoby takie: dlaczego myśli poetów, pełna przecucia przyszłości, znajduje natchnienie swe wtedy, gdy styka się z przeszłością? Oba wypadki, zarówno „Puszczy Jodłowej”, jak „Gody Życia” zaszły wskutek zaczarowania poetów przez Dawność. Żeromskiego entuzjazm

na rzecz Puszczy tłumaczy się tym, że ona dała jego wyobraźni maksymalny zasięg w dzieje ziem. On tę swoją górę widział jako niegdyś wybrzeże morskie, on wśród tych jodeł widział jelenia z krzyżem w rogach, widział jednocześnie stąd, jak z wyżyny, przyszłość. Albo Dygasiński w dolinie Prądnika czemu się rozrzewnił? Bo tam był najstarszy kąt życia ludzkiego. W czasach przedhistorycznych, tam w okolicy Ojcowa, Szydłowca w epoce krzemienia, tam było najgęstsze zaludnienie, tam było „zagłębienie przemysłowe” obsługujące swym dobrem Europę środkową. Do niedawna w dolinie Prądnika mieściłmy jedyną miejscowość, gdzie z podań ludowych można było ułożyć całą historię Polski. Tym się tłumaczy rzewność Dygasińskiego i historia jego kapelusza.

Bo cóż to jest przeszłość ze swoją dawnością dla umysłu ludzkiego? To jedyny sposób wymiarowania przyszłości, gdy chodzi o przyszłość narodu. Ten, kto posiadał świadomością przeszłość, jest panem tak samo wielkiej przyszłości. Nie sięgałaby ciekawość w przyszłe czasy, gdyby tęsknota za rzeczami minionymi nie ciągnęła jego umysłu w przeszłość.

Kwestia nowej Polski mogła być rozwiązana jako zagadnienie łączne przestrzeni i czasu. Zagadnienie pierwsze rozwiązało się jako sprawa zjednoczenia ziem, a zagadnienie czasu jako odczucie drogi suwerennej wolności.

Umysły, uwrażliwione na działanie oddechu ziemi i pieśni wieczności, dają podstawę ogólnej zasadzie życia, że drogi dziejowej nie można wykomponować, że trzeba ją wykryć.

Kierunek tej drogi nadaje już przeszłość.

Ludzie, którzy mniemają, że historia od nich się zaczyna, nadają się na proroków i sterników.

Przypomnijmy sobie, jak Mickiewicz w Improwizacji mówi o swoich skrzydłach, które go przed tron niebieski zaniosą: jednym skrzydłem o przeszłość, a drugim o przyszłość uderzał.

Jeśli z tego szczytowego punktu na dzieje literatury spojrzymy, to będziemy musieli przyznać, że literatura nasza świetnie rozegrała trudną partię XIX wieku. W pracy tej niepoślednią rolę odegrali nasi pisarze regionalni. Wisła (na Śląsku Cieszyńskim) w styczniu 1947 r.

Zygmunt Wasilewski

»Sieć zamknięta«

Nie po raz pierwszy zdarza się u nas, że prasa i opinia społeczna nie zwróci uwagi na jakies doniosłe zdarzenie w naszym życiu kulturalnym, czy politycznym, po prostu przejdzie obojętnie obok niego, lub wprost przeoczy.

Przed kilku tygodniami weszło u nas w życie rozporządzenie Ministerstwa Oświaty o tak zwanej „sieci zamkniętej”. Ogranicza ono możliwość a nawet prawo sprzedaży książek dla szkół podstawowych wszystkich klas, przez księgarnie.

Co prawda owo rozporządzenie dotyczy tylko terenów województw: warszawskiego wraz z miastem Warszawa, śląsko-dąbrowskiego i mazurskiego. Narazie jest to więc próba i eksperyment. Najwidoczniej w Ministerstwie wahało się, skoro rozporządzenie ma taki charakter. I właśnie dlatego sprawa ta powinna być gruntownie przedyskutowana i oświetlona przez prasę, czasopisma poświęcone nauce, kulturze, literaturze i sztuce przez Związki Zawodowe; Literatów i Dziennikarzy, przez Polskie Towarzystwo Wydawców Książek, a wreszcie przez Związek Księgarzy Polskich. Tymczasem jest o tej sprawie u nas glucho. Do tej pory wiele pism literackich, społecznych, a przede wszystkim „Kuznica”, narzeka na sprawę kolportażu książki. Stwierdza, że na prowincji jest on źle zorganizowany i niedostateczny. Wiele książek i wydawnictw nie dociera do wielu zakątków naszego kraju.

Sprawa kolportażu książki była powodem wielu utyskiwań w okresie

przedwojennym i przedstawiała wielkie do życzenia, a co dopiero w warunkach powojennych. Bezspornie racja bytu i sens istnienia księgarń na prowincji sprowadza się do sprzedaży młodzieży książek szkolnych. Księgarz na prowincji, mając taką podstawę swojej egzystencji, mógł dopiero rozwinąć w pełni swoją działalność, sprowadzać książki, związane z lekturą szkolną młodzieży, z kształceniem zawodowym, na podarki świąteczne, czy imieninowe dla dzieci, dzieła naukowe i mieć jak i taki asortyment na uzupełnienie bibliotek.

Rozporządzenie Ministra Oświaty o „sieci zamkniętej” wyklucza księgarstwo od pośredniczenia w dostarczaniu podręczników uczącej się młodzieży szkolnej, tym samym odrzuca podcina egzystencję księgarń, przede wszystkim w miasteczkach i miastach prowincjonalnych, które dotąd borykały się z wielu trudnościami.

Dla ilustracji, w jaki sposób urządzano się niejedną księgarnię prowincjonalną, wystarczyłoby choćby wspomnieć jeden z wielu przykładów nam znanych: oto Jerzy Liczkowski, po osiedleniu się w dalekim Białogrodzie, na Pomorzu Zachodnim, urządzając swoją księgarnię sam zwozi w walizkach książki z różnych miast, wielokrotnie zmuszony jest przewozić je na dachu wagonów, aby tylko uruchomić placówkę kulturalną.

Co prawda Ministerstwo Oświaty uczyniło pewien wyłom w swym rozporządzeniu: zezwoliło na sprzedaż

podręczników w okresie od 1 stycznia 1948 roku do czerwca 1948 roku.

Trudno zauważyć jeden z księgarzy, że jest to tak, jak gdyby jakieś kompetentne ministerstwo ustaliło własną i wyłączną sprzedaż lodów i wody sodowej od 1-go maja do 31 października, natomiast zezwała na prywatną sprzedaż lodów i wody sodowej od 1-go listopada do 30-go kwietnia każdego roku. Przysłowio-wo musztarda po obiedzie.

Najistotniejszym argumentem jest zamiar wykluczenia pośrednictwa księgarza, a więc obniżenia ceny książki.

Dotąd otrzymywał on od książki 25% rabatu. Z tego miał utrzymać swoje przedsiębiorstwo, opłacić personel najemny, podatki, porto, opakowanie itp.

Po wprowadzeniu owego rozporządzenia, szkoła ma otrzymywać 10% na koszt rozprawienia książek. Nie ulega wątpliwości, że najmniej 5% pójdzie na koszt przesyłki i opłacenia ludzi, którzy będą się kolportażem zajmowali. Nauczycielstwo zostanie obciążone jeszcze jednym nowym obowiązkiem, choć i tak jest przeciążone pracą i zajęciami, no i oczywiście musi być wynagrodzone za dodatkowe zajęcie.

Jeden z księgarzy wykalkulował: elementarz, który w księgarni kosztował 38 zł; będzie teraz kosztował w szkole 34 złote. Natomiast duże straty poniesie Skarb Państwa z uszczuplonych wpływów podatkowych. Urzędy Skarbowe będą zmuszone skreślić z obrotu księgarzy od 75 do 100 procent ogólnego obrotu.

Vice-minister Krassowska, na Sejmowej Komisji Oświatowej podkreśliła, że dobro szkoły i dziecka szkolnego jest ważniejsze niż interes księgarzy. Odrzućmy na chwilę sprawę krzywdy księgarzy, której nota bene niesposób pominąć, a rozpatrzyć tylko aspekt społeczny tej sprawy.

W spisie podręczników objętych systemem rozprowadzenia zamkniętego figuruje między innymi: Falskiego „Elementarz miejski” i tego samego autora „Elementarz wiejski”.

Wiemy, iż mimo że ministerstwo nie życzy sobie, aby dzieci rozpoczynały naukę czytania w domu, najczęściej rodzice uczą swoje dzieci czytać w domu, przed oddaniem ich do szkoły. Na czym więc mają się dzieci uczyć sztuki czytania, czy sy-labizowania?

W spisie tym figuruje również „Geometria” Aleksandra Werycho, w przedmowie zamacza autor, że książka jego przeznaczona jest w pierwszym rzędzie dla skróconych kursów gimnazjalnych, dokształcających, dla dorosłych i samouków.

W księgarniach często spotyka się wojskowych, funkcjonariuszy państwowych i społecznych, kupujących najczęściej tylko książki szkolne. Są to zapóźnieni, uzupełniający swoją wiedzę w domu poza godzinami pracy zarobkowej. Gdzież oni mają nabywać książki?

Wiele osób uczy się języków obcych. Gdzież mają nabywać podręczniki najlepiej opracowane i najtańsze np.:

Czistakowa „Uczebnik ruskawo jazyka”, czy Jastrocha: „The first Year of English” — jeżeli one są objęte siecią zamkniętą?

Po wprowadzeniu tego rozporządzenia wiele księgarń zostanie zamkniętych. Będzie to strata bardzo duża. W wielu miastach i miasteczkach były one jedynym ośrodkiem szerzenia kultury i oświaty, budziły wśród młodzieży zainteresowanie, uczyły, szerzyły kult i zamiłowanie książki, poezji, prozy i sztuki.

Rodzice krewni i znajomi zamiast książek, jako podarki imieninowe czy świąteczne będą zmuszeni nabywać dla dzieci zabawki, cukierki...

W zakończeniu zwrócić należy uwagę na krzywdę moralną, jaka spotyka nasze księgarstwo. Żadna branża nie została tak surowo doświadczona.

Pamiętać musimy, że księgarstwo polskie w latach niewoli, po zamknięciu bibliotek, uniwersytetów, mimo zakazów i surowych represji, podtrzymało ducha oporu i ducha walki, tak waleń przyczyniło się do odzyskania naszej Niepodległości.

Stanisław Podlewski

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

w sprawie art. „Imperializm Miłosierdzia”

W tygodniku „Dziś i jutro” (Nr 30/87 z dn. 27 lipca 1947) ukazał się artykuł W. Majdańskiego pt. „Imperializm Miłosierdzia”. Artykuł ten dotyczy Domu Matki i Dziecka w Słupsku i podyktowany został najszlachetniejszą troską o życie niemowląt i opiekę nad matką i jej macierzyństwem.

Bardzo gorące akcenty artykułu przesłoniły autorowi w odniesieniu do Domu Matki i Dziecka w Słupsku pewne fakty, które pragniemy sprostować, a raczej dopowiedzieć.

1) Dom Matki i Dziecka w Słupsku nie jest Jedynym Domem, gdyż w Polsce istnieje około 38 Domów podobnych, które powstały z inicjatywy władz państwowych, samorządowych lub organizacji społecznych. Zajmuje się tymi Domami Ministerstwo Opieki Społecznej.

2) Dom Matki i Dziecka powstał z inicjatywy prywatnej w sierpniu 1945 r. i od samego początku utrzymywał się z subsydiów Wojewódzkiego Wydziału Opieki Społecznej,

a od stycznia 1946 r. stał się instytucją państwową.

3) Dom Matki i Dziecka w Słupsku nie mógłby rozwijać swojej działalności, gdyby nie wydatna i pełna zrozumienia pomoc Ministerstwa Opieki Społecznej, oraz Wojewódzkiego Wydziału Opieki Społecznej.

4) Instytucja nasza pracuje według instrukcji nadsyłanych z Ministerstwa Opieki Społecznej i Wydziału Wojewódzkiego.

„Dom Matki i Dziecka” Słupsk.

Marek A. Wasilewski

»ZYCIE PRAWDZIW E*»

Nalot którego nie było

Struchlały czekam w schronie życia. —
 Tam, trąby anielskie już dawno trąbią alarm.
 Kulę się. Trwożniem u murów przysiadł.
 Czekam, a trąby grają... grają... grają...
 — Panie! Jak źle, żem modlitw się nie uczył,
 Że dziś samotność czuję i dokoła pustkę
 Warkot motorów o srebrnej śmierci mruczy,
 W bezgłośnym wnętrza krzyku zastygły moją usta
 — Wezwiesz mnie? — Czy już? — Jak i dlaczego?
 Pytania rzucam cegłom, jak bunt bez krzty nadziei.
 Nademną tylko groźne bezgwiazdne czarne niebo
 I prośba na mych wargach: — Och, spraw, by przelecieli!
 Przecieli! ciemność nocy żli aniołowie Twoi,
 Ci, którzy się targnęli, by wzniecić żar rebelii,
 W wazonie stoją baze, na biurku w mym pokoju
 I tylko gałąź wierzby od świata wciąż mnie dzieli.
 — Miej litość nad wierzb rodem choć szczepem są Kaina.
 Ratunkiem zwisam ciężko na szczeblu Twej dobroci,
 A prośba moja teraz tak mi się zda dziecinna:
 — Jeżeli jestem godzien, wesprzyj mnie i nie pociesz...
 I wyrasta drzewem kwitnącym nadzieja,
 Szept mój zmienia się w owoc jednym słowem „Panie!”.
 Domy płoną wokół, domy wkrąg goreją,
 Tylko u mnie są baze w ocalonym mieszkaniu.

OTULONY JESIENIĄ

Otulony jesienią
 Zamiatam wzrokiem miasto,
 Stojąc pod murem domu — ścianą placu.
 Nieznane mi ptaki nawlekają wypalone okna
 Ciągiem południowego odlotu
 Jestem sam.
 Czerwone riksze mokną na rogach, jak wymalowane ulicznice.
 Kształtują obraz rozptakanego dnia,
 Wodząc nogami po czekoladowej mazi błota.
 Najlepiej mieć kaptur.
 Gdy słońce rozsiada się na każdym powiewie zimnego wiatru
 Bośnogie dzieci żebraków pociągają nosami.
 Tak trzeba by dostać złotówkę.
 Deszcz pada.
 Miasto moknie.
 Placę deszczem nad gnijącym od wody miastem

BABCIA

Babce mej — Julii

Słońce się robi srebrne na babci włosach białych
 I bliższy od pieszczoty pod ciemnym okiem wnuka.
 Lata się niczym oczka, jak oczka przybywały
 Robione na srebrzystych, jak babci włosy drutach.

A lata biegły z prądem rozkwitających wiosen
 I liśćmi czerwonymi szeptały wiersz jesienią.
 Dopóki się włos czarny nie zmienił z białym włosom
 I zmarszczki na jej czole nie wszyły się cierpieniem.

Na dole grał patefon na niezmiętej igle,
 „Za rok, za dzień, za chwilę” — skrzeczącym głosem chrząkał,
 A słońce się chowało, jakby robiło figle.
 Przy nogach mojej babci zwinięty kot zasypia.

I srebrne włosy babci są znowu mleczno-białe,
 Lecz myśl wciąż są młode, jak kiedyś pewnej zimy,
 A serce rozkochane w czeredzie wnuków małych,
 Choć oczy zapatrzone w horyzont mglisto-siny.

W stołowym, jak codziennie, godzinę zegar bije,
 Sekundy idą naprzód w niezmiennym czasie takcie
 I nie wiem, czy jest serce na kuli ziemskiej czyjeś,
 Co umie więcej odczuć, niż serce mojej babci.

WOJENNA
WIZJA

Zamarzły cienie w pokojach,
 Zdmuchnięta upadła świeca:
 Szron biały, ręce twoje i moje,
 Skrzep krwi na główkach dzieci

Słup mgły paruje z gardła
 I stoi jak słup graniczny.
 Na lnianych włoskach krwi szkarłat
 I wilgotne cegły piwnicy.

Przebijają oskardy świadomość.
 Ryją dłużej w sypisku cegieł.
 Dłonie w gruzie, jak w mięsie toną,
 Wielkie szufle wzruszają ziemię.

Przebijają się żerdzie na wolność,
 Której ciałom nie będzie potrzeba.
 Z cegieł Wolskiej, Grójeckiej i Smolnej
 Żaden z tamtych nie spojrz już w niebo.

Na betonie, na płycie chropawej
 Leży dom, jak ciężar na płucach.
 W wielkim domu największej Warszawy
 Giną ludzie i ginie dźwięk.

Leżą gruzy jak ciężar mej winy,
 Tak nieznanej, jak tamten samolot,
 Który w asfalt się zarył przed kinem.
 (Zginął wtedy Rosjanin i Polak)

Kiedy ciała wyjmiecie spod zwalisk.
 To zatknijcie ich czaszki na tykach.
 Jak litery w boskiej księdze zażalen
 Przyszłe linie wytyczą barykad.

Będzie walka o prawo człowieka,
 Padnie w pył największy totalizm.
 Z klingi srebrnej naszego miecza
 Zdejma wolność ci, którzy przetrwali.

TUŁACZ

Niespokojna jest dusza nasza
 póki nie spocznie w Panu.
 Św. Augustyn

Na drżących strunach mej tęsknoty
 Powtarza wiatr jednaki refren.
 Cóż były warte dni powrotu?
 Dla kogo jestem? Po co jestem

A miasta gwarne ulicami
 W ramiona idą mi naprzeciw
 I wstają domy zapomniane,
 By z bram ich mogły wybiec dzieci.

Jak obco dźwięczą nuty wspomnień!
 Jak gdyby dźwięki cudzej mowy
 I nikt się już nie garnie do mnie,
 Nikt już nie rzuci nawet słowa.

Włóczę się wszędzie zapomniany,
 Wyrzutek ludzi, domów ulic,
 A zatrzaśnięte ciężkie bramy
 Nie dają głowy mi przytulić.

Szukam znajomych miejsc pod dachem
 Przeciagam, jęcząc niczym widmo,
 Wiem, że nie znajdę, że nie trafię,
 Że zniknę tak, jak domy znikną.

A kiedy ziemia swą przyłbicę
 Nad bładym czołem mi zatrzaśnie,
 Przeszanę był tułaczem, niczym
 I znajdę dom — największą jasność.

Pejzaż tęsknoty

Zerwany owoc w dłoni
 Pieszczę mniemanem smaku
 Daleko lśni twój profil,
 Wpatrzone oczy w zachód

Bezbrzeżny pejzaż czytasz,
 Jak książkę w szkole dzieck
 Woń gruszy smakowita
 I śpiew tęskniących dziewcząt

Wezbrałaś tkliwym smutkiem,
 Jak owoc mój słodyczą.
 Żegnasz marzeń łódka,
 By do mnie przybyć znikąd.

LIRYKA JESIENI

Na pasmach deszczu,
 Jak na srebrnych strunach,
 Przygrywa słońce tęczęwłą dionią
 W ogródku jeszcze
 Czochrate wierzby
 Ostatnim listkiem chwytają promień.

Mała nagietka zbyt późno kwitnie.
 Kot mruży oczy do złotej strugi,
 Wygrzewa brzuszki na świetlnym krążku.
 Niebo się patrzy coraz błękitniej. —
 Świat sens zagubił. — — —
 Zamykam książkę.

Czerwona czereśnie

Ktoś rzucił na trotuar czerwone czereśnie.
 Może zgubiło je dziecko, a może kobieta?
 Może kobieta podobna do ciebie?
 Czereśnie są czerwone, jak były twoje usta. —
 Leży garść owocu.
 Mijają się spieszące obojętni przechodnie.
 Depczą zgubione czereśnie.
 Sok tryska na trotuar. — — —
 Nie wiem jak się bałaś,
 Patrząc w lufę pistoletu,
 Nie wiem co myślałaś ostatnią, ziemską myślą,
 Kiedy krew twoja tryskała na bruk,
 Jak sok zdeptanych czereśni. —
 Wpatrzony w miążgę owoców nie dowiem się już nigdy.

PIESNIARZ

Jerzemu Ficowskiemu

Ponieś między ruiny twoje słowo piękne,
 Na harfie bez strun srebrnych graj majowym bzom,
 Aż ptaki się ziecą na twe tony dźwięczne
 I odbudujesz ludziom i ptakom dom.

O dniach graj gorących, jak usta kobiety,
 O ostatniej, ofiarnej ofensywie serc,
 Które Polsce rozdano, jak ludziom „Biuletyn”
 I niechaj dni twarde wypowie twój miękki wiersz.

Stań z harfą w smagłej dłoni, jak stawali Grecy,
 Ludzie — niech się śmieją. Ty nie ludziom mów.
 Ludzie są dla ludzi najbardziej dalecy,
 A tobie najbliższa jest melodia słów.

Czekaj na złamaną księżycy monetę
 I na bzy białe skąpane we krwi.
 Wiersz wyostrze o księżyc aż będzie bagnietem
 I w pierś wroga pieśń twoją tak jak bagniet wbij.

A bzy czerwono-białe zakwitną na wiosnę
 I krew z nich będzie kapać, jak topiony lak.
 Wtedy laur dwa gołębie ci w dziobach przyniosą
 I na skroniach złożą, jak koronę — swój znak.

*) Wiersze z tomu pod tym samym tytułem, który ukaże się nakładem „Oficyny Księgarskiej” w Warszawie.

Franciszek Landsdorf

Ustroje polityczne w świetle biologii

(Artykuł dyskusyjny)

I. Niektórzy pisarze na serio ostrzegali przed groźbą opanowania kuli ziemskiej przez termity. Te małe zwierzątka, uzbrojone w precyzyjną organizację poszczególnych kopców, w niebyłej inteligencji i charakter, krok za krokiem zdobywają nowe tereny na tropikach. Wydaje się pewnym, że termity nie posiadając swojej organizacji i specjalizacji nie byłyby równie groźne, i potężne.

Walka o byt jest faktem, nad genezę którego nie będziemy się zastanawiali. Utrzymanie i rozwój gatunku postuluje szereg czynności, poszczególnych jednostek, lub ich zrzeczeń. Cele te dadzą się rozbić na następujące dziedziny:

- obrona przed wytopieniem,
- obrona przed wyginieniem z głodu czy zimna,
- zapewnienie ciągłości gatunku czyli rozmnażanie, i wychowanie.

Poniżej zwrócimy najbaczniejszą uwagę na hierarchie i znaczenie tych celów. Teraz zaznaczymy jeszcze, że od czasu gdy kula ziemską zastęga szereg gatunków żyjących kolejno na niej panował, — czasem niepodzielnie. Oprócz świata roślinnego, i zwierzęcego, człowiek, który w epoce brzoższej staje się tym władcą niepodzielnym, — zaprzęgał do swej służby także siły organiczne i elementarne. Łatwo sobie uprzytomnić, że działania człowieka w tym kierunku, są w ścisłym związku z biologicznymi celami, z utrzymaniem i rozwojem gatunku. To, nad czym należałoby się zastanowić, to zagadnienie, w jakim stopniu działania społeczne, czyli zbiorowiskowe ludzkości, służą im także. W jakim stopniu ustroj, prawo, polityka, wszystko co ujmujemy pod nazwą faktów historycznych, jest determinowane przez biologiczną dążność do utrzymania i rozwoju gatunku?

II. Nie wiadomo kiedy termity zgromadziły się w kopce. Natomiast jest niemal pewnym, że gatunek ludzki rozpoczął swoje bytowanie w rozbiciu indywidualnym, podobnie jak muchy, zające czy lwy. Czy możność utworzenia pierwszych najpierw rodzinnych, potem narodowych grup była uwarunkowana rozwojem mowy, oto zagadnienie któreby było interesujące do zbadania. Zarówno to co wiemy z przeszłości — najbardziej odległej — naszej własnej rasy białej jak i z obserwacji plemion ludzkich pozostających dzisiaj na niskim szczeblu rozwoju, świadczy o tym, że człowiek pierwotny walczył indywidualnie zarówno z otaczającą go przyrodą, jak i z innymi indywidualami. Równie pewnym jest że w tym stanie rozbicia gatunek ludzki nie mógł ani zapanować nad przyrodą, ani tym samym zapewnić sobie panowania nad siłami, które potem ujarzmił. Czy człowiek ujarzmił naturę na to aby zapewnić sobie rozwój, czy rozwijał się na to aby ujarzmić naturę? Sądzę, że to pierwsze. Biologiczny postulat utrzymania gatunku pcha każdy gatunek do opanowania możliwie kompletnego świata — wymaga tego zapewnienie gatunkowi teraźniejszości i przyszłości, — usunięcie gróźb dla jego istnienia, obecnych i przyszłych.

Etyka człowieka pierwotnego dyktowała mu walkę, nie tylko ze światem otaczającym, ale i z innymi indywidualami jego rodzaju. Fenomeny podobne są spotykane u niektórych gatunków zwierzęcych. Walka i morderstwo dla zdobycia terenu, żywności, kobiet, bogactwa, w miarę rozwoju tego pojęcia — oto fakty, które nie ulegają wątpliwości. Czy w stanie rozbicia i walki wzajemnych poszczególnych indywidualów człowiek

mógł zapanować nad naturą, i nad siłami elementarnymi, czy mógł sobie ipso facto zapewnić ciągłość i rozwój gatunku? Nie, rzekliśmy powyżej. Rozbicie było funkcją, być może, niemożności porozumienia, niemożności wydawania poleceń i zrozumienia tych poleceń — skoro organizacja nie oznacza nic innego jak rozkaz i posłuszeństwo. Walka wzajemna była środkiem selekcji. Pozostawał na placu najpierw bardziej silny, — potem bardziej sprytny — obdarzony lepszym mózgiem osobnik gatunku homo sapiens.

Nieposłuszeństwo organom grup zbiorowych, które potem powstały, to atawizmy z czasów kiedy brak mowy uniemożliwiał utworzenie grupy. Morderstwa wzajemne indywidualów — to atawizmy z czasów kiedy tą drogą gatunek ludzki ulepszał swoją przeciętną jakość. Z biegiem czasu i postępu funkcja ta zanikła. Odruch, tendencja do odruchu, do refleksu, pozostała u bardziej zacofanych jednostek, w postaci dążności zbrodni. Tak jak palec u nóg istnieją jeszcze u ludzi, mimo że ich potrzeba od wieków zanika, jak dziecko boi się ciemności, mimo że już w nocy i w lesie nie czyha na nie niebezpieczeństwo dzikiego zwierza, jak pies rzuca się na psa drugiego i odpędza go od jego miski, mimo że to nie jedna kość jest do zjedzenia, ale przed każdym psem człowiek postawi już miskę osobną — tak człowiek morduje lub kradnie bez przyczyn pochodzących z nakazów rozwoju gatunku.

Twórcy materializmu dziejowego starali się uzasadnić obecną przestarzałość indywidualną — anarchią produkcji. Należałoby jednak raczej zbadać szereg współczesnych przeciętnych zbrodni indywidualnych, i dowiedzieć, że warunki kapitalistyczne są źródłem tych zbrodni. Można się obawiać, że przeprowadzenie takiego dowodu byłoby trudnym. Odpadłyby tu jedynie zbrodnie, dokonane z powodu, czy za pomocą, pozostawania warsztatów produkcji w ręku jednostek. Wszystkie inne, jakże liczne, pobudki bezpośrednie zbrodni, pozostaną niezmienione, niezależnie od tego, czy przemysł będzie administrowany przez reprezentantów proletariatu, czy przez kapitalistów.

III. Powstanie grupy narodowej jest faktem biologicznym. Wskazuje na to jedno słowo — jeżeli pominiąć cechy rasowe, które w pewnych wypadkach pokrywały się z grupami. Powstanie grupy miało poważną funkcję biologiczną. Była nią wspólna obrona przed wytopieniem, wspólne zdobycie żywności, na naturze i na innych grupach — wspólne zbieranie zapasów. Było także ustaniem ciepła się indywidualnego wewnątrz grupy. Po tym było, konieczną dla rozwoju gatunku, obrona cywilizacji już osiągniętych, przed grupami jeszcze zacofanymi.

W jakiej mierze powstanie grupy narodowej czy państwowej było krokiem naprzód z punktu widzenia zapewnienia rozwoju gatunku ludzkiego, to łatwo sobie uprzytomnić. Żadne dzieło zbiorowe nie byłoby bez zebrania się w grupę możliwe. Produkcja narzędzi i broni do opanowania natury pozostałaby na nadzwyczaj prymitywnym stopniu rozwoju. O jakimkolwiek budownictwie, produkcji, walce mikrobiologicznej, wyzyskaniu pary czy elektryczności nie mogło być mowy. Ale jednocześnie indywidual ludzkie mordując się wzajem, uniemożliwiłyby sobie konieczne rozmnożenie i pracę nad rozwojem — pochłonięte przez bellum omnes contra omnes. Utworzenie wspólnoty postuluje ustanie walki indywidualnych w jej obrębie. Ale

atawizmy, czyli nawyki dziedziczone były silniejsze od postulatów nowego stopnia ewolucji. Stąd musiało powstać prawo, zabraniające tych, szkodliwych dla gatunku wybuchów atawizmu. Wspólne działanie wymagało kierownictwa i specjalizacji. Stąd władza państwowa, stąd klasy społeczne.

Patrzanie na moment założenia państwa z punktu widzenia teorii Marksa narzuca powstanie klas drogą wyzysku jednego odłamu grupy przez drugiego. Jednakże żadna grupa zbiorowa, nawet najbardziej solidarna, dobrowolna i bezklasowa, nie mogła się obyć bez specjalizacji. Rozwój produkcji wymaga specjalizacji coraz większej i nadzieja wyrażona przez Lenina, że dalszy rozwój masy, ułatwi pracę przy nich tak dalece, że specjalizacja nie będzie ważna, nie zdaje się urzeczywistniać. Wyobraźmy sobie zrzeszenie ludzi pierwotnych. Bez różniczkowania funkcji, postęp, a przez postęp uważamy to wszystko co mogło się przyczynić do rozwoju gatunku, nie byłoby możliwe. Złaskza musiał istnieć, — i musi dotąd, w każdej grupie ludzkiej organ kierowniczy. Jest oczywistym, że organ kierowniczy musiał mieć inne cechy niż organy wykonawcze.

Jaką drogą następował rozwój inteligencji w epoce specjalizacji trudno to dzisiaj określić. Również nie da się zapewnić, że rozwój funkcji myślenia zależny był od dziedziczenia zawodów wymagających wysiłku mózgowego. Z punktu widzenia rozwoju gatunku, postęp myśli i wiedzy nie byłoby możliwy, jak to zauważył Wells, bez życia beztroskiego, uzdolnionych jednostek, bez kumulacji bogactw. Możemy powiedzieć z całą pewnością, że istnienie różnych klas, istnienie specjalizacji było wymogiem walki człowieka zjednoczonego w grupie o byt, — a więc wymogiem istnienia i rozwoju gatunku. Z tego, biologicznego punktu widzenia patrząc, walka klas byłaby skutkiem nierówności w podziale dochodu społecznego. Natomiast samo powstanie klasy i powstanie państwa nastąpić mogło niezależnie od tej nierówności, niezależnie od wyzysku. Zarówno władza państwowa, jak i różne klasy społeczne, były potrzebne na tym szczeblu rozwoju gatunku na którym powstały grupy narodowe lub państwowe.

IV. Teoria Marksa przyjmuje walkę klas jako istotny obraz ewolucji dialektycznej rodzaju ludzkiego. Wszelkie inne przejawy działalności człowieka są według tej teorii tylko rzadkością, tylko wtórnym odbiciem warunków wytworzonych przez warunki produkcji i przez walkę klas. „Historia — pisze Engels o tej teorii — została po raz pierwszy postawiona na swej rzeczywistej podstawie — namacalnym, lecz dotychczas całkowicie przeoczony fakt, że ludzie muszą przede wszystkim jeść, pić, odziewać się, mieszkąć, a więc muszą pracować zanim będą mogli walczyć o panowanie, zanim będą w możności zajmować się polityką, religią, filozofią itp. — ten namacalny fakt zdobył sobie wreszcie swe historyczne prawo” (K. Marks, Dzieła Wybrane, T. 1, str. 16).

Z punktu widzenia biologicznego teoria ta byłaby prawdziwa, gdyby walka o byt, gdyby walka o utrzymanie i rozwój gatunku ograniczała się do produkcji, do tych czterech elementarnych potrzeb, wyliczonych w powyższym kontekście i ich pochodnych. Tak było w wielkim zarysie w wieku XIX-tym, kiedy teorię swoją tworzył Marks. Ale my, w niecałe sto lat po tym widzieliśmy dziedzinę życia, inaczej ważne z przyrodniczego, materialnego punktu widzenia,

z punktu widzenia utrzymania i rozwoju gatunku.

W pewnej chwili grupy narodowe i państwowe poczęły realizować z ostarwością, i na skalę dawno nieznana, a w każdym razie nieznana w XIX-tym wieku, — tępienie masowe innych grup narodowych. W szczególności Niemcy przeprowadzili masowe mordowanie Żydów, wraz z kobietami i dziećmi. Rozwój gatunku za czasów Marksa był zagrożony przez głód, chłód — przez niskie płace. Ale oto już nie rozwój a samo istnienie gatunku zostało zagrożone przez masowe gazowanie. Podkreślam fakt, że morderstwo, ludobójstwo temu ulegały i kobiety i dzieci. Śmierć bowiem mężczyźni w sile wieku leżała od wieków w ramach przyjętego kodeksu regulującego walki grup narodowych, o ile nie przybierała charakteru masowego, nie zagrażała istnieniu gatunku. Ludobójstwo, tak częste w starożytności, zanikło na okres kilkuset lat, przy końcu którego to okresu stworzył swoją teorię Marks. Było ono o wiele stopni groźniejsze od wszystkich innych gróźb istniejących dla gatunku ludzkiego. Stało się jednak możliwym tylko w chwili panowania jednej grupy nad drugą. Stąd, z czysto przyrodniczego, biologicznego punktu widzenia można powiedzieć, że:

- „panowanie” nie było wcale mniej ważną funkcją biologiczną od produkcji. Niezależność od panowania cudzej grupy, mogła być jedynym ratunkiem przed wyniszczeniem, znacznie groźniejszym od wszystkich następstw produkcji czy walki klas, — bo wszak na to aby produkować, jeść, pić itp. trzeba przede wszystkim nie być wymordowanym,
- walki polityczne w przeszłości mogły być instynktowną obroną grup ludzkich, przed groźnym im wymordowaniem, nawet jeżeli w niektórych wiekach ludobójstwo takie nie przejawiało się ani w teorii, ani w praktyce.

V. Czytelnik mógłby zarzucić, że zarówno walki polityczne, jak i ich ostatni, najwyższy wyraz — ludobójstwo miały podkład materialny, w znaczeniu produkcyjności. Czyż pierwsze wypadki ludobójstwa mogły mieć głębokie korzenie gdzieindziej, jak w zagadnieniu produkcji, w chęci powiększenia swego bogactwa kosztem wytopionej grupy? Odpowiedzieć na to należy, że korzenie danego fenomenu są ważne tylko dopóty, póki fenomen czerpie z tych korzeni soki, póki jest z nim organicznie związany, póki takie czy inne zmiany w źródle fenomenu, powodują zmiany w fenomenie samym. Natomiast te korzenie, ta przyczyna staje się obojętna, skoro zanik już związek między nią, a następstwem. „Wraz ze zmianą podłoża ekonomicznego — napisał Marks — odbywa się mniej lub więcej szybko przewrót w całej, olbrzymiej nadbudowie”. (K. Marks, Dzieła Wybrane, str. 31). Jednym z elementów tej nadbudowy była walka polityczna. Skoro weszła ona w zwyczaj tak bardzo, że zaczęła być i rozwijać się własnym życiem, — bez podniety gospodarczej, skoro to „mniej lub więcej szybko” trwa już setki lat, — to musimy dla zbadania mechanizmu tego elementu nadbudowy, badać jego bardziej aktualne i doraźne przyczyny. Przyczyną walki politycznej stała się chęć rozszerzenia panowania grupy narodowej — lub obrona swego panowania. Ta chęć, rozszerzenia i obrony przejawiała się nawet wtedy, kiedy była ona w rażącej sprzeczności z interesami gospodarczymi. Wykazywała też

daleko idącą solidarność wewnątrz grup narodowych, negowała syntetyczne zdanie z „Manifestu Komunistycznego” — „Historia wszelkiego społeczeństwa dotychczasowego — jest historią walk klasowych”. Walki bowiem gotowych i solidarnych wewnątrz grup narodowościowych kształtowały bardziej dzieje ludzkości od walki klas.

Walka klas może dać lepsze lub gorsze warunki bytowania w rezultacie większą lub mniejszą śmiertelność wśród danej klasy. Lepszy lub gorszy rozwój gatunku. Walka narodowościowa może dać zupełne, stuprocentowe wyniszczenie. Stąd tak często zapał do walki narodowościowej, łączący wszystkie, nawet najbardziej wrogi i uświadomione w tej wrogosci klasy społeczne. To, biologiczny pęd do zachowania gatunku, a więc imperatyw najwyższy, brał górę nad dążeniem do polepszenia bytu, a więc nad imperatywem wtórnym. Czy przyczyną wszystkich walk narodowościowych był czynnik gospodarczy? Możliwe. Tak samo, początek życia na ziemi powstał tylko przy pewnej temperaturze. Temperatura ta dawno minęła, życie jednak trwa i rozwija się w rozmaitych strefach gorąca i zimna.

Chciałbym uczynić małą dygresję, by uprzytomnić rozmiar czasu w zjawiskach biologicznych. Oto pewien uczone ustalili, że gdybyśmy przyjęli okres od pojawienia się życia na kuli ziemskiej do chwili obecnej jako skalę dwunastu godzin, to okres od pojawienia się człowieka w neolicie do dzisiaj wynosiłby trzecią część sekundy. Niech to da do myślenia tym, którzyby pragnęli marksistowskie „mniej lub więcej szybko” przeliczać na lata, dziesiątki lat, czy nawet wieki.

Rozszerzając tę dygresję przyciągniemy uwagę czytelnika na dystans, jaki powstaje od historii rzeczy ludzkich, gdy spojrzymy na nią z punktu widzenia biologicznego, a więc patrząc razem na cały odcinek dziejów czy setek tysięcy lat. Przy tym dystansie, uwypukla się może lepiej zasadnicza linia rozwojowa gatunku, ale nikt nie życie człowieka poszczególnego, jego radości i smutki, jego szczęście i niedola. Natomiast gdy przekreślimy śrubę teleskopu, gdy teleskop zmienimy na mikroskop, znikają wielkie linie rozwoju świata, a w olbrzymich rozmiarach staje przed nami zagadnienie losu człowieka poszczególnego, takie, jakie widzimy czytając Tacyta, czy studiując Buddę, czy pamiętniki więźniów oświęcimskich...

Powstanie może kolizja przed wytycznymi, które mamy obrać. Kolizja między wytycznymi dyktowanymi nam przez obraz rozwoju gatunku widzianym w perspektywie setek tysięcy lat, i obrazem życia człowieka, gdy analizujemy każdą godzinę jego życia. Jaką drogę wybrać, gdy staniesz przed tym rozstaniem? Sądzę, że pracując nad rozwojem całości dobru niemy wreszcie do warunków gdzie i jednostkom będzie lepiej. Ale by ludzkość dobru nie w jakim takim stanie do szczęścia, winna szukać drogi nie najkrótszej, lecz najmniej niszczącej, najmniej niedoli, lez i krwi przynoszącej. Gdy planujemy wielkie linie rozwoju, czyli ustroj ku któremu dążyć winna ludzkość, weźmymy odstęp jaknajwiększy, perspektywę jaknajdalszą. Ale gdy przystępujemy do realizacji tych wielkich dróg, nachylny się nad mikroskopem życia poszczególnego człowieka, sprawdźmy czyśmy na tej wielkiej drodze nie zagubili busoli najważniejszej — miłości bliźniego i miłosierdzia chrześcijańskiego.

Nacjonalizm, w swojej najwyższej, faszystowskiej hipertrofii przeprowadził atak na etykę chrześcijańską. I przedtem grupy narodowe rządziły się egoizmem grupowym. Zachowywały jednak umiar od chwili przyjęcia religii chrześcijańskiej w tępieniu innych grup. Faszyzm przekreślił wszystkie te granice. Teoretycznie jedność świata przez faszyzm mogła się uskutecznić jedynie drogą szołdowania sobie, zamienienia w niewolników, lub też wytepienie innych grup ludności. Praktyka faszyzmu wykazała, że tępienie poprzedziło nawet opór przeciw hegemonii grupy niemieckiej, przeciw jedności drogi panowania jednej rasy. Mianowicie pierwszym narodem, który miał być, i w dużym procentie został wytepiiony, stali się Żydzi, co trudno byłoby uzasadnić inaczej, jak przewencyjnie odczuta obawą, iż kiedyś mogą stać się niebezpieczni dla władztwa niemieckiego. Wy tłumaczenie to jednak wydaje się nam równie naciągane, jak i teza o rzekomym sędziwym czy klasowym podłożu walki Niemców przeciw Żydom czy Polakom. Byłoby to tym samym, co poszukiwanie się przyczyn racjonalnych w zagryzaniu małego jarmnika przez potężnego wilka. To był tylko odruch atawizmu — wyzwolony po obaleniu pęt, które nań nałożyła nauka Chrystusa.

XIV. Jeżeli przez „faszyzm” ujęliśmy w jednym słowie dążenie do opanowania świata przez jedną grupę rasową lub narodową i szołdowanie sobie grup innych — to trzeba wspomnieć o rasizmie anglosaskim. Słowo „faszyzm” bywa rzadko używane w tym znaczeniu dlatego, że pojęcie to zawiera w sobie także pewne metody postępowania, które faszyzm w swoim przejawie hitlerowskim doprowadził do ostatecznych granic, a które w rasizmie anglosaskim nie przejawiają się równie jaskrawo. Również trzeba nadmienić, że faszyzm anglosaski nie znalazł swego jawnego ujęcia — przeciwnie, zasłania się nieraz pozorami wyznawania etyki chrześcijańskiej, oraz liberalizmu politycznego XIX wieku. Tym niemniej zarówno stosunek Amerykanów do Murzynów, jak i Anglików do wielu ludów kolonialnych nie oznaczają nic innego jak tylko panowanie jednej grupy rasowej nad innymi, drogą zamienienia ich sobie w niewolników.

XV. Może trzeba tu jeszcze spojrzeć na liberalizm, i jego ostateczny wyraz, anarchizm, z punktu widzenia rozwoju gatunku. Powiedzieliśmy powyżej, że kumulacja, którą nazwaliśmy dobrowolną, może być niepozbawioną przymusu bądź to gospodarczego, bądź nawet policyjnego. Poprzednio powiedzieliśmy, że żadne zaskafkowanie grup ludzkich w jedność świata, żadne też zmiany w systemie kumulacji kapitału, czyli narzędzi, nie zniosą tego przymusu, ani tej władzy, która przymus wykonywać będzie. Być może dlatego znalazły się umysły ludzkie, i to spośród najeższych, które cofnęły się przed trudnym wdarcieciem się w nowy etap, rozwoju ludzkości, przed budową wielkiego kopca termitów. Czy to nie Gandhi, wielki idealista indyjski, rzucił hasło ostatecznej dekoncentracji przemysłu, obalenia fabryk, powrotu do warsztatów jednostkowych, do życia indywidualnego? I czyż nauka jego nie była tylko wtórną kontynuacją zasad wielkiego Gotamy, który nie znalazł innej drogi do szczęścia, jak potrójne wyrzeczenie się, rezygnacja z postępu, rezygnacja z rozwoju gatunku, i dążenie do Nirwany? A jednak w świetle rozwoju biologicznego gatunku, wszelkie opory, wszelkie ucieczki od walki z przyrodą i z sobą samym są atawizmami,

opóźniającymi pochod gatunku w kierunku opanowania tych elementów, które jeszcze pozostają do opanowania. I w świetle tego pochod, westchnienia nad dawną szeroką wolnością, biadania nad obecną — coraz wyraźniejszą „przemocą” rysującą się jako pozostałości z epoki, gdy wolność była konieczną do życia i rozwoju, przemoc zaś prowadziła je do zacofania i niszczenia gatunku. Z chwilą gdy stanie się odwrotnie, a „chwile” taką należy liczyć biologicznie, wolność stanie się wstrętną, a uleganie dyscyplinie będzie pożądane.

XVI. Z dwu wielkich kierunków całkujących grupy ludzkie, jeden — faszyzm założył panowanie przemocy — rozwój gatunku poprzez szołdowanie lub wytepienie grup słabszych. Drugi marksizm — założył likwidację przemocy i sprawiedliwość oraz wolność jako cel ostateczny. Z biologicznego punktu widzenia wydaje się, że gdyby należało wybierać między tymi dwoma kierunkami, marksizm byłby reprezentantem rozwoju gatunku, podczas gdy faszyzm zawierałby w sobie groźbę jego cofnięcia.

To że od początku faszyzm musiał zwalczać chrześcijaństwo jest rzeczą jasną. Stał się świadomie, idąc za wskazaniem Nietschego, realizatorem tego, co Chrystus nazwał złem. Zamiast „Miłujcie nieprzyjaciół wasze” wypisał na swoich sztandarach „Okło za okło, zęb za zęb” — i gorzej, bo śmierć całym grupom nim one zdążyły zagrozić herren-volkowi. Faszyzm stał się wcieleniem zła — gdyż zarówno droga, którą szedł do jednolitości gatunku, jak i przyszły program kierowania tą jednolitością zakładały niewolnictwo — z punktu widzenia norm absolutnych — wyniszczenie gatunku z punktu widzenia biologicznego rozwoju.

Marksizm, postulując jedność świata, zankł przemocę, a więc zanik atawizmów walki indywidualnej i grupowej, rozpoczął od walki z chrześcijaństwem, które było największą i jedyną próbą przygotowania umysłów ludzkich do jednolitości.

Cel wyrażony przez marksizm nie był sprzeczny ani z biologicznym rozwojem gatunku, ani też z dążeniami do doskonałości, wyrażanymi przez Kościół Katolicki. Ale droga marksizmu odwoływała się nie do miłości, lecz do walki klasowej. Kościół nie wierzy, żeby ludzkość doszła do zupełnego zwalczenia zła, żeby wyrzekła się przemocy, żeby przestała działać skutki grzechu pierworodnego — żeby zagnęła atawizmy mówiąc językiem biologicznym — marksizm w to wierzy — Kościół za to uczy, że należy do jednolitości iść drogą po tępienia walki i nienawiści, drogą propagandy miłości i solidaryzmu — marksizm zaś zakłada drogę do jednolitości i zgody poprzez walkę. Cóż za labirynt nieporozumień i sprzeczności!

Nachylając się nad tą, po stokroć dziwną walką tez marksistowskich z etyką chrześcijańską, należałoby poddać ściślejszej analizie biologicznej oba kierunki. Należałoby sobie uprzytomnić potęgę atawizmów opóźniających skutki zmian gospodarczych, atawizmów często już oderwanych od swoich korzeni ekonomicznych. Może wtedy marksisci doszliby do przekonania, że dostosowanie natury ludzkiej do wytkniętej przez nich celu, jednolitości i sprawiedliwości, uda się szybciej osiągnąć w oparciu — co mówię — w usilnym krzewieniu — etyki Chrystusowej, niż w podniecaniu, poprzez walkę klasową — walki międzyludzkiej, a więc elementu, do którego zniesienia dąży. A hasło „Miłuj bliźniego swego”, odwołanie się do dobrych, miast złych stron natury ludzkiej, w oparciu o tysiącletnie nauki Kościoła, o ilez szybciej by nam dało przystosowanie się do jednolitości i sprawiedliwości całego świata.

Franciszek Landsdorf

Włodzimierz Wnuk

W OBRONIE REGIONALIZMU

Dzisiaj naogół nie ma już w społeczeństwie polskim wątpliwości co do postawy górali w czasie wojny. Ze „Goralenvolk” był robotą li tylko zdegenerowanych jednostek, że ogromna większość ludności góralskiej nie miała z nią nic wspólnego, wie o tym dzisiaj bodaj każdy. Wszyscy ci, którzy mieli możność bliższego wejścia w sprawę podhalańską w latach niewoli, wyrobili sobie o nich zgodny sąd. Wypowiedział go krótko i węzłowato Jan Gwałbert Pawlikowski, stwierdzając w „Twórczości” (styczeń 1946): „Goralenvolk” to nie góralszczyzna, to nawet nie Zakopane. Góralszczyzna obrony nie potrzebuje”. Sformułował go jasno i wyraznie Mieczysław Wionczek, pisząc w „Odrodzeniu” (nr. 24, rok 1945): „Bohaterstwo całego podtatrzańskiego ludu, przez pięćdziesiąt parę miesięcy zamkniętego w „Sperrgebiet Hoche Tatra”, więcej waży niż hańba kilkudziesięciu, ukrywanych przest”. W tym samym „Odrodzeniu” (nr. 29 rok 1945) stwierdził Jan Alfred Szczepański: „Większość górali zdała nieprawdopodobnie trudny egzamin z odznaczeniem”.

Tak, te rzeczy są dzisiaj bezsporne. Natomiast warto się bliżej zająć sprawą regionalizmu podhalańskiego. Jeśli bowiem górale w ogromnej swej większości „zdali nieprawdopodobnie trudny egzamin z odznaczeniem”, to było to w dużej mierze zasługą ruchu podhalańskiego, zasługą tego, co nazywamy regionalizmem podhalańskim. Podkreślam to mocno, ponieważ nie brakło u nas głosów wyrażających opinię przeciwną, głosów oskarżających regionalizm o przygotowanie gruntu pod „Goralenvolk”. Oskarżenie to jest całkowicie bezpodstawne, krzywdzące i byłoby rzeczą szkodliwą, gdyby ktokolwiek temu oskarżeniu zawierzył. Podhalański ruch regionalny — ten, którego wykładnikiem był Związek Podhalań — nie tylko nie ponosi żadnej odpowiedzialności za akcję „Goralenvolk”, ale przeciwnie, przyczynił się on znacznie do pogłębienia w góralach świadomości narodowej i ściślejszego zespolenia ich z Rzeczpospolitą, do uodpornienia ich na zakusy separatystyczne.

Czymże był w istocie ruch podhalański?

Początki jego tkwią w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych

ubiegłego stulecia, kiedy to na gruncie krakowskim znaleźli się pierwsi synowie góralscy, kształcący się w tamtejszych gimnazjach. Mieli oni w Krakowie niełatwe życie: Krakowianie wysmiewali nieśmiały i „dziwacznie” ubranych górali, na ławie szkolnej dokuczano im dotkliwie. Jak opowiada dyr. Jakub Zachemski, w latach tych na ulicach Krakowa kpieno sobie z górali i wytykano im ich strój (który dopiero później stanie się modny i popularny). W tych warunkach synowie góralscy, uczący się w Krakowie, poczęli się łączyć, skupiać, umacniać w swojej góralości, z której byli dumni i której bynajmniej nie zamierzali porzucić. U kolebki tego ruchu stali m. inn. późniejszy dyrektor gimnazjum Św. Anny Jakub Zachemski z Odrowąża, prof. Andrzej Stopka z Kościeliska (ojciec znanego artysty dekoratora scen krakowskich A. Stopki), prof. gimnazjum Św. Jacka, Józef Kantor, dyrektor KKO w Krakowie Dorawski Józef z Pyzówki. W gronie tych ludzi zaczęła krzepnąć idea podhalańska, wyrażająca się w dążeniu do zachowania odrębności regionalnej Podhala i rozbudzenia w ludzie góralskim poczucia swej wartości. Stało się to pod przemożnym wpływem Stanisława Witkiewicza, co podkreślił wyraźnie w swej broszurce „Ruch Podhalański” Antoni Zachemski: „Nie pomniejsze w niczym sławy Wielkiego Mistrza Kazimierza Tetmajera, nie ujmę ani jednego listka z wieńca zasług Władysława Orkana, któremu wszak w r. 1927 akademickie zwiazki zimowe składały w Uniwersytecie Jagiellońskim hołd, jako Czcigodnemu siewcy wskazań regionalnych, jeśli powiem, że właśnie w pracy Witkiewicza szukać należy początków podhalańskiego regionalizmu. To bowiem, co pojęciem regionalnym obejmujemy, znajdowało swój wyraz w jego poczynaniach: utrzymać bogactwo rodzimej kultury, wysunąć przed oczy społeczeństwa jej wysokie wartości i zasilic niemi kulturę ogólnopolską. Witkiewicz uprawił ten grunt, na którym wyrósł miała tasma broniąca kultury Podhala przed niszczycielską falą współczesności”.

To właśnie zadanie: utrzymać bogactwo rodzimej kultury, wysunąć przed oczy społeczeństwa jej wysokie wartości i zasilic niemi kulturę

ogólnopolską — stało się naczelnym hasłem ruchu podhalańskiego, który niebawem znajdzie swój wyraz w Zjazdach Podhalań. Pierwszy taki zjazd odbył się w r. 1911 w Zakopanem i był związany z jubileuszem Kazimierza Przerwy Tetmajera. Następne zjazdy odbywały się corocznie — z przerwą wojenną — w różnych miejscowościach Podhala, jak Nowy Targ, Czarny Dunajec, Chochołów, Bukowina, Szafłary, Poronin, Kościelisko. W zjazdach tych organizowanych w pierwszym rzędzie przez Jakuba Zachemskiego i Feliksa Gwizdzę, brały udział — obok przedstawicieli inteligencji góralskiej — szerokie rzesze chłopstwa góralskiego ze wszystkich stron Podhala. Na zjeździe w Chochołowie w r. 1913 stawilo się przeszło dziesięć tysięcy górali! — a powitał ich wójt chochołowski, potomek powstańca z 1846 r. Józef Kojas słowami: „Witam Was w imieniu tych, którzy padli tu na placu boju, w imieniu tych, którzy po lochach więzień austriackich strasnie za polską Rzecz cierpieli, witam Was w imieniu żyjących jeszcze świadków tego poruszenia”. Tenże Kojas został umęczony przez zbrodniarzy hitlerowskich w r. 1941. Na tym samym zjeździe wójt zakopiański, żyjący jeszcze Wojciech Roj zgłosił przy powszechnym entuzjastycznym następujący apel: „Zgromadzony dnia 23 lutego 1913 r. w Chochołowie na uroczystościach ku czci powstańców, lud z całego Podhala, obchodząc to wielkie święto, jedynomyślnie wzywa wszystkich Polaków, aby w dzisiejszej wielkiej chwili dziejowej zaniechali walk partyjnych i skupili wszystkie swe siły w dążeniu do wyzwolenia z pęt niewoli narodu polskiego”.

Tak oto rodził się ruch podhalański, w takim duchu powstawał podhalański regionalizm. Nic tedy dziwnego, że kiedy wybuchła wojna około dwa tysiące górali wstąpiło do Legionów.

Na Zjazdach Podhalań radzono o potrzebach kulturalnych i gospodarczych Podhala, zastanawiano się nad sposobami utrwalenia i rozwoju góralskiego folkloru, przede wszystkim jednak mówiono o potrzebie utrzymania więzi duchowej, łączącej wszystkich Podhalań, o konieczności utworzenia wielkiej wspólnoty synów góralskich, celem uratowania wartości regionalnych przed idącym

Maria Ricard

Na drugiej półkuli

Po 18 dniach trwania konferencji 20 republik amerykańskich, w Rio de Janeiro, został podpisany Międzynarodowy Traktat Wzajemnej Pomocy i Obrony.

Po pierwszej romantycznej fazie konferencji, podczas której na pięciu plenarnych posiedzeniach ministrów spraw zagranicznych przedstawiali swe punkty widzenia, utopione w powodzi zdań o ideałach i solidarności panamerykańskiej, nastąpiła druga faza intensywnych prac trzech komisji redagujących traktat.

W pierwszym tygodniu obrad rozstrzygnął się los wszystkich „sensacyjnych” problemów konferencji: upadł projekt włączenia do obrad zagadnień ekonomicznych, doktryna Kuby o agresji ekonomicznej została odrzucona, wreszcie nie została dopuszczona do stołu obrad żadna z trzech bawiących w Rio de Janeiro delegacji Nikaraguy (do Rio zjechały bowiem: delegacja legalnego rządu obalonego w zamachu stanu gen. Somozy, delegacja tymczasowego rządu i delegacja nprawoobranego prezydenta Reyes’a).

Drugiego tygodnia obrad był całkowicie poświęcony redagowaniu traktatu przez trzy komisje, z których pierwsza miała za zadanie opracować wstęp, zasady i artykuły konco-

we; niewdzięcznym zadaniem drugiej komisji było określenie agresji i groźby agresji oraz ustalenie środków i sankcji w wypadku zaatakowania jakiegokolwiek państwa półkuli zachodniej; wreszcie III komisja zajmowała się ustaleniem organów i procedury, które uznależnią działanie stworzonego systemu bezpieczeństwa.

Kolejno rozpatrywane paragrafy wywoływały gorące dyskusje, ścierały się sprzeczne interesy Stanów Zjednoczonych, Argentyny i małych republik łacińskich; dawały wreszcie wyraz swym odmiennym stanowiskom Argentyna i niechętnym okiem patrząca na jej dynamizm inne republiki łacińskie.

Prace I komisji, dotyczące zasad wstępnych nie nastęrczały okazji do zbyt ostrej wymiany zdań. Wstęp traktatu powołuje się na pokojowe zasady panamerykanizmu, na akt Chapultepec oraz potępia metodę zbrojnego rozstrzygnięcia konfliktów.

Również przeszło stosunkowo gładko ustalenie przez III komisję organu, który przeprowadza narady i decyduje o środkach pomocy i sankcjach w wypadku zaatakowania jednego z państw amerykańskich. Organem tym jest Zgromadzenie Ministrów Spraw Zagranicznych republik amerykańskich, zwane Radą

Konsultatywną. Natomiast Rada Naczelną Unii Panamerykańskiej utrzymuje ścisły kontakt z ONZ i będzie mogła również pełnić tymczasowo funkcje Zgromadzenia Ministrów.

Punktem, który wzbudził powszechne zainteresowanie i wywołał gorącą dyskusję było ustalenie procedury głosowania na Zgromadzeniu Ministrów. Argentyna zażądała przyjęcia zasady jednomyślności, która równoznaczna jest z zasadą veta i mogłaby uniemożliwić w przyszłości wszelką akcję kolektywną. Inne państwa z USA i Brazylią na czele przeciwstawiły się Argentynie i 15 głosami przeciw 3 ustaliły większość 2/3 głosów jako obowiązującą. Obrady II komisji, zajmującej się określeniem agresji i ustaleniem środków przedsięwziętych w razie napaści były zawsze ożywione i urozmaicone zasadniczymi kontrowersjami.

Centralne zagadnienie stanowił problem czy agresor amerykański ma być traktowany tak samo jak ewentualny agresor po za amerykański i czy pomoc udzielona napaściemu oraz sankcje przeciw napaściemu będą jednakowe w obu wypadkach. Argentyna twierdziła, iż kolektywny mechanizm bezpieczeństwa kontynentalnego winien działać tylko w wypadku agresji po za amerykańskiej. Jest nie do pomyślenia, dowo-

Czytajcie

„SŁOWO POWSZECHNE”

PODHALAŃSKIEGO

z dołu, od miasta procesem niwelacji, szarżyny, beztradycyjnej współczesności. To poczucie odrębności regionalnej nie miało żadnych akcentów separatystycznych, przeciwnie, łączyło się ono z głębokim zrozumieniem potrzeb państwa i narodu, z serdecznym umiłowaniem Polski, której Podhalanie chcieli dać z siebie jak najwięcej. Ruch podhalański miał ambicję, aby Podhale stało się świadomą swojej odrębności, pierwszą ziemią Rzeczypospolitej. Duszą zjazdów Podhalan, a zarazem całego ruchu podhalańskiego był wielki pisarz, syn chłopski z Poręby Wielkiej, Władysław Orkan, który na Zjeździe Podhalan w Czarnym Dunaju w r. 1922 także oto rzucił między innymi wskazania dla synów Podhala:

„...Tradycja jest Twoją godnością, Twoją dumą, Twoim szlachectwem, synu chłopski.

Dbaj o zachowanie spuścizny Twych ojców: rodzimej sztuki, rodzimej kultury.

Dąż do tego, aby Twoja, oczyszczona z nalatów obcych, kultura ludowa poszła w górę, rozkwitnęła w kwiat wielkiej kultury narodowej, godnej zająć poczesne miejsce w dorobku wszechludzki.

Jak śpiewki chłopsko - kujawskie wyniosł na wierzch muzyki wszechświatowej Szopen — tak oto dąż;

by Twe ojczyste pieśni, niezabaczone jeszcze nuty, wyznaczyły się w orkiestrze świata;

by z kozikowych ojców robót, z naiwnych figur przy drodze, posąg skrzydlaty rzeźby rodzimej wystrzelił;

by Twa nadbudowana już literatura wzmogła się wyżej, poniosła sławę Twej Ojczyzny dalej, stała się wszechna, całym czytelną światu;

by wreszcie ostatecznie — w tej czy w tej dziedzinie — geniusz rasy Twej zabłysnął.

„Ukochaj swobodę, prawo człowieka wolnego — swoje i cudze. Masz to, synu Podhala, położone dokumentnie — jeśli zrozumiesz tradycję — w testamencie ojców.

Pamiętaj, że z tej ziemi szły czynne protesty chłopskie przeciw ciemniemu — tu mieli władzę sołtyśni nakazać pospolite ruszenie przeciw zdierycy Grafowi Komorowskiemu —

o ten to miłujący swobodę lud zaczępił plan swój zawczesny odnowy Rzeczypospolitej Kostka (Napierki) — stąd też wstał jedyny na ziemiach załężych protest orężny chłopski przeciw perfidnej Austrii: bunt chochołowski.

Bądź buntownikiem, t.zn. buntuj się przeciw wszystkiemu, co gniecie, co ciemieży ducha, co tamą się kładzie na drodze ku wyrostowi.

A przede wszystkim: miej charakter! To jest prawie wszystko.

„W nieszczęściu nie upadaj. Nie cofaj się przed przeciwnościami. Przejdziesz. Tylko wolę w sobie hartuj. Bądź mocny. Nie w prusackim znaczeniu: „sei hart!”

W miłości swej do niewiasty bądź czysty i prawy. To święta rzecz.

„Ze wsią swoją rodzinną żyj — i daj jej, co najlepsze, z duszy swej. Wróc braciom, coś wiedzą zdobył. — Nie przecinaj korzeni łączących Cię z rodnią ziemią — choćbyś na krańcu świata się znalazł. To tak, jakbyś przeciał żyły żywota.

Gdy Was się zjeździe trzech Podhalan: niech będzie podniesienie dusz! Jakby całe Podhale w Was było.

Wiedz, że Ty wydzwigujesz pierśią ziemię swoją, swój kąt ojczysty — albo go hańbisz, ponizas. Pierś Twoja niech będzie przeto napięta na najwyższy ton! To winienes Duchowi swojemu i Ojcom swoim”.

Taka była atmosfera, w której się rozwijał regionalizm podhalański, raka była jego podbudowa ideologiczna. Nie było tu miejsca ani na separatyzm, ani na zaściankowalność, była natomiast zdrowa tendencja do zachowania odrębności regionalnej Podhala, połączona z ambicją przeobrażenia pewnych wartości podhalańskich na wartości ogólnonarodowe. Praktyczną realizacją tych zamierzeń zajął się Związek Podhalan, powstały w r. 1918. Była to pierwsza w Polsce organizacja o typie czysto regionalnym, której statut przewidywał następujące cele: utrzymanie towarzyskiej i duchowej łączności Podhalan; wszechstronne wspieranie się wzajemne, otoczenie opieką kształcącej się młodzieży podhalańskiej, utrzymanie stałej łączności Podhalan, prace nad podniesieniem ludu podhalańskiego pod względem etycznym,

umysłowym i gospodarczym, utrzymanie i pielęgnowanie swoich kultury Podhala, wyrażającej się w mowie, stroju, zwyczajach i obyczajach, tańcu, śpiewie, budownictwie itp.; propagandą energicznej polityki gospodarczej na Podhalu ze szczególnym uwzględnieniem interesów ludu; współdziałanie z innymi towarzystwami o podobnych celach.

Związek Podhalan organizował w dalszym ciągu tradycyjne coroczne Zjazdy Podhalan, poza tym w szeregu miejscowości Podhala powstały ogniska tego związku. Objęły one swoim zasięgiem nie tylko powiat nowotarski, ale rozszerzyły się na powiaty: limanowski, żywiecki, wadowicki. Związek Podhalan ogarniał zatem powoli teren całej góralszczyzny podhalańskiej, o czym marzył Orkan, który już w 1912 r. oświadczył na zjeździe w Nowym Targu: „Z czasem nie będziemy mogli spoistaż stworzyć organizację, która obejmie i lud swoim kręgiem. Będzie to wtedy, gdy w nas dokonane, zacnie się Odrodzenie Podhala, całej i pół miliona narodu obejmującej góralszczyzny, tak odrębnej kulturą i ziemią od reszty Polski”. Ogniska Związku Podhalan powstały również w paru miastach polskich, jak Warszawa, Kraków, Łódź, gdzie znalazła się większa liczba Podhalan. Powstały one nawet w Ameryce, gdzie wyemigrowało tylu górali. Szczególnie aktywną działalność regionalną rozwijał Akademicki Związek Podhalan, powstały w Krakowie po pierwszej wojnie światowej. Prezesem Związku Podhalan był od samego jego założenia Jakub Zachemski, a jednym z jego najczynniejszych działaczy Feliks Gwiżdż oraz s.p. Antoni Zachemski. Organem Związku Podhalan była „Gazeta Podhalańska”, wychodząca od r. 1912 w Nowym Targu. (pierw szym jej redaktorem był Gwiżdż). Gazeta ta, służąc idei regionalnej, stała zawsze na stanowisku państwowym i narodowym — próżnoby szukał ten, kto by chciał znaleźć na jej separatyzm. Szczególne zasługi poniosła ona w okresie plebiscytu na Spiszu i Orawie, kiedy to przyczyniła się w dużej mierze do rozbudzenia świadomości polskiej wśród tamtejszych górali; redaktorem „Gazety” był w tym czasie Juliusz Zborowski, dzisiaj-

szty dyrektor Muzeum Tatrzańskiego. Podhalański ruch regionalny, mający swoich gorących zwolenników w całym kraju, zmierzał do tego, aby i na innych ziemiach polskich powstały podobne ruchy regionalne. Na jubileuszowym, dziesiątym zjeździe Podhalan w Szafarach w 1926 r. wygłosił Orkan przemówienie zakończone apelem:

„My zebrani na Zjeździe dziesiątym naszym, zorganizowani w Związek synowie chłopscy Podhala, zwracamy się z apelem do synów wszystkich ziem na obszarze Polski, które jeszcze w niwelacyjnym procesie nie zgasyły, aby wespół z nami jęli się odnowy i utrwalenia Rzeczypospolitej; budząc dumę odrębności swych ziem i dźwigając je pracą ku górze. Zjazdy coroczne świadomych synów danej ziemi niechaj będą początkiem”. W r. 1929 przedstawił Orkan Ministerstwu Wyz. Rel. i Ośw. Publ. memoriał, w którym określił zasady regionalizmu polskiego i podał projekt ogólnopolskiej organizacji regionalnej. Podstawą tej organizacji byłyby związki poszczególnych ziem na wzór Związku Podhalan, a więc: związki ziem krakowskiej, cieszyńskiej, rzeszowskiej, łowickiej, kujawskiej itd. na czele których stałby nadzórny, z delegatów ziem wszystkich wybrany, „Związek Ziemi”. Szczególną uwagę przykładał Orkan do corocznych zjazdów regionalnych poszczególnych ziem, na których by ludność miejska, wywodząca się z danej ziemi, mogła spotkać się z wsią i wspólnie z nią radzić nad dobrem regionu. Związki ziem mogłyby spełnić doniosłą rolę w budowaniu prawdziwej, rzetelnej demokracji. Bo też Orkan chciał w regionalizmie polskim widzieć nie tylko konserwowanie wartości odrębno - kulturalnych, ale ponadto „budowę gruntującą gmach Rzeczypospolitej”. Regionalizm w rozumieniu Orkanowskim miał być szlachetną rywalizacją poszczególnych ziem w dążeniu do wydobywania z siebie najwyższych wartości regionalnych (społecznych, kulturalnych, artystycznych) i przekazania ich skarbcowi ogólnonarodowemu. Pośmiertnym nie jako zwycięstwem idei Orkana były „Święta Gór”, urządzone w ostatnich latach przed drugą wojną światową. Imprezy te były wspaniałymi manifestacjami, na których poszczególne ziemie górskie, reprezentowane przez najlepsze swoje zespoły regionalne, rywalizowały o pierwszeństwo. Podhalański ruch regionalny pobudził szereg innych ośrodków w kraju do pracy nad odrodzeniem własnych wartości regionalnych.

Wspominam o tym wszystkim, aby wykażać, że regionalizm podhalański był oparty na zdrowych podstawach i służył celom pozytywnym. Naczelne jego hasło: „przez podhalańskie do umiłowienia obywatelsko - państwowego”, (cytuje za Antonim Zachemskim), oddaje dobrze istotę ruchu, który, budząc dumę regionalną, tym silniej wiązał z państwem i narodem. Urodzony i wychowany w Zakopanem, wezłami krwi i uczucia najściślej z góralszczyzną złączony, wyrastałem od najmłodszych lat w atmosferze tego właśnie podhalańizmu. I wiem jedno: ruch ten zawsze stawił ponad Podhale — Polskę. I jeśli budził w góralach dumę z tego, że są góralami, to jednocześnie uczył, że być góralem znaczy być Polakiem, którego „pierś jest napięta na najwyższy ton”. Zjazdy Związku Podhalan, to były manifestacje regionalne i narodowe zarazem, manifestacje, na których góralstwo łączyła się z polskością nierozdzielnie, na których godła podhalańskie występowały na tle białoczerwonego sztandaru. Muzeum Tatrzańskie, którego dyrektorem był jednym z pierwszych redaktorów „Gazety Podhalańskiej” to była na gruncie zakopiańskim ostoja myśli regionalnej, a jednocześnie placówka narodowa i państwowo - twórcza w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Maria Ricard

Tak pojęty i przez takich ludzi kierowany podhalański ruch regionalny zdał egzamin w okresie wielkiej, decydującej próby, jaką były dla góralszczyzny lata 1939 — 1945. Przewodzący tego ruchu odgradzili się całkowicie od akcji „Goralenvolk” zaciągając się do służby podziemnej; większość z nich zginęła w obozach koncentracyjnych. Lud zaś góralski, przez ideę regionalną bezpośrednio lub pośrednio urobiony, oparł się w sposób zdecydowany zakusom separatystycznym, wykazując wysoki stopień uświadomienia narodowego i dochowując wierności Polsce w najcięższym okresie jej dziejów. Stało się tak — podkreślam raz jeszcze — nie wbrew ani nie pomimo, lecz właśnie w dużej mierze dzięki regionalizmowi podhalańskiemu.

Władze państwowe, zatwierdziły wskrzeszony po wojnie Związek Podhalański, który pod przewodnictwem swego nieszora, sędziwego dyr. Jakuba Zachemskiego, przystąpił do pracy. Przy Uniwersytecie Jagiellońskim powstał znow Akademicki Związek Podhalan. A w Nowym Targu wychodzi dalej zaśluzona „Gazeta Podhalańska”, redagowana obecnie przez znanego poetę góralskiego Stanisława Nędzę Kubińca. Jednocześnie daje się zaobserwować radosny fakt odradzania się w społeczeństwie naszym tej sympatii dla regionu podhalańskiego, którą zawsze u nas żywiono. Góralskie zespoły regionalne witanie są wszędzie obojętnie, choć zdarzają się jeszcze tu i ówdzie indywidualne docinki na temat „Goralenvolk”; miejmy nadzieję, że i one przeminą. Na Podhalu zjeżdżają znow tysiączne rzesze — może nawet liczniejsze, niż przed wojną — rodaków z całego kraju. W codziennym, bezpośrednim ich obcowaniu z góralami znikną zapewne resztki tych nieporozumień i wątpliwości, jakie na gromadziły się w „sprawie góralskiej” w latach ostatniej wojny.

Włodzimierz Wautk

Nadesłano

KSIEGARNIA

STEFANA KAMINSKIEGO —
KRAKÓW, PODWALE 6
I FLORIAŃSKA 13

Ks. Dr Franciszek Mirek przełożył z łaciny — PSAŁTERZ RZYMSKI 1947 r., str. 263.

Z. Podkowińska — CZŁOWIEK PRZEDHISTORYCZNY NA ZIEMIACH POLSKICH, 1947 r., str. 85.

A. Nałęcz — KRÓTKI INFORMATOR MOTOCYKLOWY — wydany w porozumieniu z polskim związkiem motocyklowym, 1947 r., str. 132.

Karol Bertoni — PRAKTYKA DYPLMATYCZNA I KONSULARNA część I-sza, wydane z zasiłkiem wydziału nauki Min. Oświaty, 1947 r., str. 120, 280 zł.

Juliusz Słowacki — BALLADYNA, tragedia w pięciu aktach, opracował Dr Ryszard Skulski, str. 150.

Kornel Ujeński — MIARATON I SKIARGI JEREMIEGO, opracował Dr Adam Bar, Doc. Uniw. Jagiell., str. 85.

William Szekspir — MIKREBET, tragedia w pięciu aktach, tł. Józef Paszkowski, wstęp i objaśnienia oprac. Dr Irena Turowska - Bar, 1947 r., str. 95.

Kazimierz Piwarski, prof. uniw. Jagiellońskiego — PRUSY WSCHODNIE W DZIEJACH POLSKI, 1947 r., str. 87.

Irena Lipska — NAUKA PISANIA NA MASZYŃNIE, wydanie trzecie, zbiór ćwiczeń z objaśnieniami, metoda 10-palcowa, dotykowa, rytmiczna, 1947 r., str. 68.

WIELKOPOLSKA KSIEGARNIA WYDAWNICZA

Nik Rostworowski — WIERSZE, str. 45, 1947 r.

Jeleński — POD BŁEKITAMI, rozpowieści, str. 329, 1947 r.

Władysław J. Grabski — SAGA O JARKU BRONIUSZU, wydanie II, 1947 r., str.

WYDAWNICTWO „KSIĄZKA”

Zbiory — PRZEWODNIK DLA RAD ZAKŁADOWYCH, str. 220, 1947 r.

WYDAWNICTWO M. KOWALSKI, KATOWICE

A. Gorywoda — POD GORĄ ŚW. ANNY, opowiadania śląskie, str. 80, 1947 r.

dził delegat argentyński, aby przy istniejącej solidarności amerykańskiej jedna z republik dopuściła się agresji przeciw państwu siostrzanej. W razie zaś mogących zaistnieć zatargów w łonie państw zachodniej półkuli dotychczas stosowane metody pokojowego załatwiania sporów są wystarczające i nie potrzebują uzupełnienia.

Nikogo jednak nie było w stanie zwięść słowa delegata Argentyny zbrojącej się po zęby, o pokojowym nastawieniu wszystkich członków Unii Panamerykańskiej. (Ostatnie depesze przyniosły nieoficjalną wiadomość o wystąpieniu przez Argentyne jeszcze jednej wojskowej misji zakupów — tym razem do Szwecji).

Toteż zwyciężyło stanowisko USA, Meksyku, Chile, Urugwaju i in. stwierdzające, iż agresja jest zawsze agresją bez względu na to, kto jest napastnikiem.

Okazało się jednak w toku dyskusji konieczne wprowadzenie rozróżnienia między procedurą postępowania w razie zaatakowania jakiegokolwiek państwa amerykańskiego na kontynencie lub poza jego granicami. Trudno byłoby bowiem nawet Stanom Zjednoczonym wymagać od republik łacińskich natychmiastowego wypowiedzenia wojny np. państwu europejskiemu, które by stopedowało okręt USA w Dardanelach. Toteż traktat określa dokładnie granice geograficzne kontynentu amerykańskiego, biorąc pod uwagę Kanadę, nie należąca dotychczas do Unii Panamerykańskiej, Alaskę, Grenlandię, terytorium między Alaską a Gren-

landią oraz południowe obszary arktyczne. Atak na terytorium lub też atak na jednostki marynarki i lotnictwa, znajdujące się w wyżej wymienionych granicach powodują, w myśl traktatu, natychmiastowe pośpieszenie z pomocą napadniętemu w ramach akcji indywidualnej (niekolektywnych sankcji, zwolanie Zgromadzenia Ministrów i uchwalenie kolektywnych sankcji. Natomiast konflikt pozakontynentalny lub napaść dokonana na jednostki wojskowe państwa amerykańskiego poza wytyczoną strefą mogą tylko spowodować zwolanie Zgromadzenia Ministrów celem rozpatrzenia sytuacji i powzięcia dalszych decyzji.

Wiele się również mówiło na temat uprawnień państw, których parlamenty nie zechcą ratyfikować traktatu. Rozważania te były dalekie od teorii; wiadomo bowiem, iż są w Ameryce kraje, które niechętnie ratyfikują podpisane przez nie układy międzymerykańskie. Tak np. Argentyna od 1890 r. do 1943 r. ratyfikowała tylko 6 układów z 90 podpisanych.

Ustalono wreszcie, iż w organach stworzonych na mocy traktatu będą mieli prawo głosu jedynie delegaci państw, które ratyfikowały traktat.

Prace trzech komisji były prowadzone pod znakiem pośpiechu, wskutek ciągłych interwencji delegatów USA, którym bardzo zależało na szybkim zakończeniu obrad. Zwłaszcza sangwiniczny senator Vandenberg, delegat USA w II komisji, niecierpliwił się bardzo wielomównością pełnych temperamentu delegatów Ameryki Łacińskiej. Podczas dyska-

W kraju...

REPATRIACJA Z ZSRR

17 września przybył do Białej Podlaskiej pierwszy transport repatriantów z Rosji. Transporty będą przychodziły regularnie tak, że całkowita repatriacja z ZSRR zostanie zakończona przed upływem roku bieżącego. W ramach tej akcji mają również powrócić wszyscy internowani w czasie działań wojennych.

Z uznaniem należy podkreślić starania, których nie szczędził Rząd celem sfinalizowania tej tak bardzo żywotnej i palącej dla narodu kwestii. Jak wiadomo rozpoczęcie ostatniej fazy repatriacji jest skutkiem zimowej wizyty delegacji Rządu Polskiego w Moskwie. Podkreślić trzeba prawdziwie obywatelską postawę Głównej Delegatury Rządu dla Spraw Repatriacji z Min. Wolskim na czele, w którego ręku spoczywa cała techniczna strona akcji repatriacyjnej. Powracający w wielu wypadkach nie potrafią wprost znaleźć dostatecznie ciepłych słów pod adresem PUR-u. Radosne powitanie to jednak nie wszystko co winniśmy Rodakom po tyloletniej rozłące. Częstokroć zastaną oni swe domy zburzone działaniami wojennymi i popioły po ogniskach rodzinnych. W żadnej polskiej chacie czy kamienicy nie może zabraknąć miejsca dla wracających. Choć mało w chwili obecnej Polaków, którzyby mieli cokolwiek w nadmiarze, strawą i odzieżą będzie trzeba dzielić się także. To jest minimum świadczeń, jakie ciąży na społeczeństwie. Nie wątpimy, że naród, znany powszechnie z tej najbardziej chrześcijańskiej z cnot jaką jest miłosierdzie, potrafi sprostać owemu zadaniu. Najistotniejszą jednak sprawą jest zagadnienie pracy dla powracających rzesz. Wierzmy, że Rząd okaże w tej kwestii tyle samo dobrej woli i zrozumienia, ile go miał w zorganizowaniu repatriacji.

MIESIĄC OBUDOWY STOLICY

Nieomal każdy dzień przynosi wiadomości o faktach, które wskazują iż troska o odbudowę Warszawy jest wspólna wszystkim Polakom. Wrzesień, który dwukrotnie zapisał się żalobnymi zgłoskami w historii Miasta, stał się obecnie symbolem dźwigającego się z ruin życia. Jakkolwiek odwoływanie się do ofiarności społeczeństwa wydaje się czasem aż zbędne. Nie ma chyba w Polsce człowieka, któryby nie rozumiał, że cała polska postawa Stolicy w latach 39 i 44 jak też przez cały okres okupacji, choćby w sensie tylko duchowym, zadecydowała o naszym prawie do niepodległej egzystencji.

W robotach przy odgruzowaniu biorą udział dosłownie wszyscy. Każdy mieszkaniec Stolicy chwycił za szpadel, żeby w ten sposób dać wyraz swemu przeświadczeniu o ważności sprawy. Odgruzowywanie Miasta przez artystów, generalicję, uczonych i młodzież szkolną ma oczywiście tylko symboliczne znaczenie. Symbol ten jednak świadczy o wspaniałej jedności myślenia całego społeczeństwa i dlatego ze wszechmiar zasługuje na uwagę i naśladowanie.

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks. dr Win. Helénowski

Gostynia, wojew. Warszawskie

Longin Szaffarski

Lekcja polemiki merytorycznej

Trudno. Zmyli mi głowę. Trybuna Wolności nazwała mnie nieukiem i ignorantem. Organ PPR napisał, że 70 mędrców nie potrafi odpowiedzieć na pytania takie go głupca jak ja. Było do przewidzenia że indagacja moja okaże się w rezultacie kłopotliwa diabła nie i trudna. Nie na dzisiejsze głowy! Doktrynerzy nie znoszą wątpliwości dotyczące istoty marksizmu, od razu ściągają na siebie gniew krewkich publicystów. Zamiast się cieszyć że ludzie te kwestie interesują i przy sposobności udzielić rzeczowych wyjaśnień, dzieńnikarz z „Trybuny“ posługuje się niewybrednymi chwytami krytyki drobnomieszczańskiej.

Co robi? Obrzuca mnie wymysłami, ponieważ nie jest w stanie podjąć polemiki merytorycznej. Kiedy Antoni Stonimski nie potrafił odpowiedzieć na argumenty Irzykowskiego, zirytowany i bezsilny pisał, że Irzykowski jest mętliak, albo zgoła dętol. Niektórzy ludziom w Polsce ciągle się wydaje, że pogardliwy tonik wyższości, połączony ze stosowaniem kopniaków i obelg, może kogokolwiek przekonać albo zastraszyć w dyskusji. Jeżeli o mnie chodzi nie sobie z tego nie robię, bo wiem że podobne metody zawsze świadczą o zedenerwowaniu i absolutnej bezradności intelektualnej. Gdy Churchill odnosił zwycięstwa Hitler nazywał go pijanicą żłowiącą wódkę co wieczór. W momencie, kiedy poniosło go chamstwo, Anglicy powzięli całkowitą pewność, że Niemcy wojskowo się kończą. Trywialność jest bronią bankrutów. Atakowanym nie szkodzi.

Ale dajmy na to. Wrodzona pokora każe mi wziąć pod uwagę możliwość, że istotnie jestem tępy ciołek i nic nie rozumiem z marksizmu.

Gdyby nawet tak było, stan mojej niewiedzy nie upoważnia nikogo do wydawania ordynarnych wrzasków. Ostatecznie w tych sprawach mylili się nie tacy ludzie jak ja. Mylił się profesor Chałasiński i dostał za to szkołę od pana Bieńkowskiego, a ostatnio Adam Schaff w „Kuźnicy“ na dwóch kolumnach poucza socjalistów, że oni też nie rozumieją. Skoro nawet w gronie wtajemniczonych istnieją tak duże różnice zdań dotyczących prawidłowej interpretacji marksizmu to nie ma w tym nic dziwnego, że jeden czy drugi katolik przy sposobności może się omylić.

Walczę o prawo do błędów i żądam, aby upominanie błędzących odbywało się w sposób zgodny ze zwyczajami panującymi w krajach cywilizowanych. Gdybyśmy o tych zagadnieniach nie dyskutowali, bury pies byłby się nimi nie interesował, bo ludzie mają dziś większe zmartwienia niż marksizm, a jeśli już chcą o nim mówić, to nie należy ich straszyć ani wymyślać od gwałpców, bo to powoduje zastój intelektualny. Skoro razem wypadło nam robić dziś ruch umysłowy, róbmy go rzeczowo ściśle i porządnie. Po tym wstępie koniecznym ze względów pedagogiczno-moralnych przystę-

puję do udzielenia jasnej odpowiedzi.

Napisałem, że w dobie obalenia determinizmu fizykalnego determinizm ekonomiczny jest anachronizmem. Gdyby mój przeciwnik był mędrcem, rozpocząłby w tym miejscu pasjonujący w gruncie rzeczy spór na temat autonomiznego charakteru poszczególnych dyscyplin poznawczych. Chcąc mnie skutecznie ugodzić, należało wykazać, że prawa rządzące w dziedzinie fizyki i ekonomii są różne i że nie wolno ich ze sobą łączyć, ani jednych do drugich sprowadzać. Takim poglądem reprezentuje dziś wielu uczonych, ale nie wszyscy są tego zdania. Marks właśnie pierwszy przełamał granicę istniejącą dotychczas między dziedzinami hermetycznie oddzielonymi od siebie. Z chwilą, gdy padło twierdzenie, że ekonomia wyznacza charakter kultury, cała humanistyka popadła w zależność od przemian społeczno-gospodarczych. Wprowadzono do niej elementy innego rodzaju. Ze determinizm w fizyce jest obalony o tym wiedzą wszyscy czytelnicy Jeansa i Edingtona. W sprawie determinizmu ekonomicznego istnieją wątpliwości jak najpoważniejsze zwłaszcza jeśli idzie o oddziaływanie „bazy“ decydującej rzekomo o charakterze religij i literatury. Pytania zawarte w poprzednim moim artykule, zmierzały właśnie do wyjaśnienia tej kwestii. Nie moją jest winą że 70 mędrców wykazało w danym wypadku swą dialektyczną bezradność.

Zachodzi logicznie uzasadnione pytanie czy materia stanowiąca przedmiot badań fizykalnych różni się w istocie od materii, z którą ma do czynienia uczony obserwujący przebieg procesów gospodarczych. Nie trzeba mi tego tłumaczyć, że w obu wypadkach rzecz rozważana jest z innego punktu widzenia. O tym wiemy z gimnazjum.

Te szkolne podziały były słuszne do czasu wyzwolenia energii atomowej. Dziś jednak właśnie fizykalne własności materii zapowiadają całkowity przewrót w metodach produkcji i w życiu gospodarczym. Ekonomia okazała się funkcją przemian, które dotąd nie podlegały jej kompetencjom badawczym. Zagranicą dużo już się dzisiaj pisze o nowych rodzajach zależności, jakie powstały między nową fizyką i ekonomią.

Gdyby dzieńnikarz z „Trybuny“ miał czas na czytanie książek naukowych nie pouczałby mnie na pewno w sprawach zupełnie sobie nieznanych. Nawet tam, gdzie nie ma przyczynowości działającej w obrębie dwóch różnych dyscyplin poznawczych, — może być paralelizm czyli równoległość występowania zjawisk o charakterze podobnym, choć niesprowadzalnym do jednej determinującej je wspólnej zasady. To także miałem na myśli dowodząc, że indeterminizm fizykalny posiada swój równoważnik w sferze przeobrażeń zachodzących w dziedzinie pozornie odrębnej.

Trzeba odróżniać stosunek bezpośredniego wynikania od tego co

jest analogiczne na różnych szczeblach wiedzy!

Mój przeciwnik pisze, że utożsamiam materię w znaczeniu filozoficznym i fizykalnym. Nie wiem co to jest materia w znaczeniu filozoficznym, radzę natomiast zapoznać się z artykułem profesora Kotarbińskiego wskazującym na niewłaściwość i mętność używania beztreściwego terminu filozofia, którym niesłusznie i bałamutnie obejmuje się dzisiaj szereg całkowicie od siebie niezależnych nauk. Dalej. Postawiłem tezę, że tylko miłość wyzwala nas z kręgu przeciwności pozerających się w bezpłodnym starciu, które upodabnia walczących do siebie. Dziennikarz z „Trybuny Wolności“ ironizuje na ten temat mówiąc: Górą braterstwo ludzi i ludów - baronów kartelowych z robotnikami i bezrobotnymi anglosaskimi okupantów z ludem greckim możnowładców Wall street z kulisami chińskimi, komunistów z faszystami hitlerowców z Polakami.

Tu krótka lekcja historii. Właśnie dlatego, że baron kartelowy nie wypełnił dobrowolnie przykazania miłości w stosunku do swych pracowników — ściągnął na siebie karę w postaci rewolucji, która w wielu krajach zmioła go z powierzchni życia publicznego.

Wszędzie tam, gdzie katolicka perswazja moralna natrafia na obojętność swych nominalnych wyznawców, pojawia się walka będąca następstwem łamania praw Boskich na ziemi. O tym jaką cenę zapłacił hitlerizm za zbrodnie wojenne, wiemy z prasy codziennej. Bezpośrednim skutkiem przestępstwa natury etycznej, stała się utrata państwowości, straszliwe zniszczenie kraju, tysiące procesów sądowych i głód jakiego Niemcy dotąd w tym nasileniu nie znały.

Zapytajmy teraz co właściwie osiągnęła Anglia przez stosowanie nie gospodarczego wyzysku w koloniach? To, że ludy pozbawione z nią wszelkiej duchowej łączności, wykorzystały jej słabość wojenną, żeby się uniezależnić. Skutek niemoralnego postępowania jest dziś dla wszystkich widoczny. Imperializm brytyjski się kończy. Kto nie umie realizować idei braterstwa, ten prędzej czy później popada w stan odosobnienia będący początkiem słabości. Prawie wszystkie klęski historyczne mają swe źródło w lekceważeniu nakazu miłości bliźniego. Pamiętajmy, że każda wroga akcja wywołuje reakcję podobną — zazwyczaj jednak silniejszą. Żadna krzywda nie może się udać ani pozostać bezkarną. Prawo moralne działa z regularnością wahadła. Godzi w tego, kto je gwałtownie odepchnął.

Pan Bóg zdaje się mówić: Nie chcesz mnie słuchać narodzie? Trudno, w takim razie zmiążdży cię historia. Z twojej doczesnej chytryści nic ostatecznie nie wyjdzie. Gdzie miłość przestaje zespałać nas razem, tam zaraz pojawia się rozkład i śmierć.

Napisałem, że walka upodabnia walczących do siebie. To fakt. Katolicka „Trybuna Robotnicza“ stwierdziła niedawno, że metody

stosowane przez Anglików w Grecji i w Palestynie są kontynuacją najgorszych wzorów hitlerowskich. Jeżeli to prawda nie potrzebuje nic więcej dowodzić.

Weźmy teraz z kolei na warsztat dalszy argument mego oponenta. Uczonemu antymaterialiście pisze anonimowy pan L., przyświecającą jednakże całkiem materialne interesy. Występując przeciwko walce między kapitalizmem prywatnym a kapitalizmem państwowym (?) akcentuje, że katolicka doktryna społeczna wysuwa postulat całkowitego uwłaszczenia mas. Oddać kopalnie, huty, fabryki, banki „twórczej“ inicjatywie prywatnej, uwłaszczyć ją, zlikwidować wszystkie osiągnięcia mas ludowych, oto ideały sztubackie obskurantów z „Dziś i Jutro“.

Najpierw trzeba wiedzieć co to znaczy uwłaszczenie mas a potem dopiero można podejmować polemikę w tej sprawie. Każdy katolik obeznany z treścią encyklik papieskich rozumie, że w danym wypadku idzie po prostu o to żeby robotnicy bezpośrednio uczestniczyli w dochodach warsztatów pracy jakie obsługują. W Niemczech przedhitlerowskich istniała np. znana fundacja Zeissa, gdzie każdy robotnik z tytułu wykonywanych funkcji zawodowych automatycznie stawał się akcjonariuszem osobiście zainteresowanym w zyskach olbrzymiego kompleksu wytwórni szkieł optycznych. W przedsiębiorstwie tak uspołecznionym, zarówno rentowność jak i wydajność była oczywiście większa niż w analogicznych obiektach państwowych, gdzie udział w dywidendzie miesięcznej czy rocznej w ogóle nie wchodził w rachubę.

Ks. Piwowarczyk w „Tygodniku Powszechnym“ nader jasno dowiódł, że celem reform społecznych nie może być zamiana jednej postaci kapitalizmu na inną, ponieważ stopa życiowa warstwy pracującej w tych warunkach podnieść się nie może, albowiem znaczna część jej wysiłku idzie na utrzymanie deficytowej maszyny administracyjnej.

Jak z tego widać obóz katolicki stanowczo przeciwstawia się reakcyjnej zasadzie proletaryzacji mas w imię rzeczywistego upowszechnienia własności. Ten, kto usiłuje utożsamić naszą ideologię z chęcią reprivatyzacji fabryk, kopalni i hut, daje tym samym dowód dyletantyzmu demagogicznego.

Ponieważ napisałem, że Marks głosił uspołecznienie a nie upaństwowienie środków wytwarzania, ponieważ ośmieliłem się zwrócić uwagę, że koncepcja molochu biurokratycznego była twórcy socjalizmu zasadniczo obca, dzieńnikarz „Trybuny Wolności“ obrzucił mnie woła: I to się produkuje na łamach literacko - społecznych tygodników polskich!

Tak. To właśnie! Najpierw trzeba znać własną doktrynę, a potem można pouczać o niej swoich przeciwników. Zarówno Marks jak i Lenin pisali o stopniowym zanikaniu funkcji państwa w ustroju socjalistycznym. Odpowiednie cytaty znajdziecie sobie panowie w ich dziełach.

Longin Szaffarski

„Przyśpieszona odbudowa kościołów Warszawy staje się jednym z najpilniejszych zadań mojego pasterzowania w powojennej stolicy“. Kardynał AUGUST HLOND

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

Stefan Kisielewski (Kisiel)

2

Pomimo tego wszystkiego, o teje właśnie porze komisarz Gromel w cywili wędrował bulwarem, chwiejnym i błędnym krokiem, postawiany szczerze kłopotliwie, włochatej jesienki. Czuł się jeszcze po wczorajszej przegrodzie bardzo źle, zatrucie chloroformem przeplacił wielogodzinnymi torsjami, w głowie hucało mu i szumiło jak w starym młynie. — Lekkie wstrząśnienie mózgu — zaopiniował doktor Alen, który wczoraj wieczorem odwiózł go do domu i oddał pod opiekę siostry. Lecz dolegliwości fizyczne nie były tutaj rzeczą najprzykreszszą: komisarz umiał zapanaować nad takimi drobnościami. Gorsze były myśli, które, choć nie dokładnie sformułowane — komisarz starał się do tego nie dopuścić — gnębiły go dotkliwie. Były one zabarwione poczuciem winy i źle spełnionego obowiązku; zachował się oto wczoraj jak nowicjusz, nie jak wytrawny fachowiec: poszli z sierżantem Kalkiem „na wariata”, istni amatorzy, nie ubezpieczyli się, zachowali się łatwowiernie jak dzieci, to też spotkało ich zaskakujące „utarcie nosa”. Oczywiście — trudno było spodziewać się tak niezwykłego wydarzenia jak powrót złośliwców celem wykradzenia zwłok — ale przecież komisarz policji śledczej, który w ciągu swej wieloletniej kariery zetknął się z najdziwniejszymi formami ludzkiej zbrodni, nie powinien był dać się tak zaskoczyć. Gromel czuł dotkliwy niesmak — fizyczny i psychiczny. Zaraz rano, nie bacząc na stan zdrowia udał się do swego starego przyjaciela doktora Alena, aby dowiedzieć się czegoś o przebiegu wypadków. Relacja doktora była krótka, ale zastanawiająca. Natchmiast po otrzymaniu wiadomości od komisarza, doktor, wraz ze swymi ludźmi wyruszył samochodem — karawką — pod wskazany adres. Niestety na rogu ruchliwej ulicy Wielekich Wodzów wpadło na nich całym pędem małe ale mocne, zielone, wojskowe jakby auto, powodując silne uszkodzenie maski oraz jednego z przednich kół karetki. Zielone auto zbiegło w szalonym tempie a oni musieli reperować szkodę i zmieniać koło w niedalekiej montowni samochodowej, co zabrało ze dwie godziny. Gdy wreszcie przybyli na miejsce, natknęli się w parterowej wnęce schodów na nieprzytomnego sierżanta Kalka, zaś mieszkanie na piętrze znaleźli zatrzęsnięte — na wszelkie stukania nikt nie odpowiadał. Doktor Alen wezwał dozorczynię, która zdumiona zeznała, że przed dziesięć minutami widziała dwóch ludzi w białych fartuchach, wynoszących na noszach ciało do auta. Sądziła, że są to ludzie z policji. Po wylamaniu drzwi stwierdzono, iż ciała rzeczywiście niema, zaś na łóżku leży bez przytomności komisarz Gromel, widocznie napastnicy przemieśli go na opróżnione po zwłokach miejsce. Sierżant Kalk, do dziś jeszcze — doniosła o tym jego żona — pół przytomny, unieszkodliwiony został na dole w identyczny sposób jak komisarz. Cios, według opinii doktora Alena, zadany został w obu wypadkach rodzajem kastetu, ale bez kołców — uderzenie jego ogłusza lub rozbija czaszkę, natomiast nie kaleczy. Mocna dawka chloroformu dokonała reszty.

Doktor Alen zaalarmował Wydział Śledczy, skąd natychmiast wysłano silny patrol, celem obstarwienia domu; doktor, znajdujący się na miejscu, zabronił ruszania czegokolwiek w mieszkaniu profesora Galarda, aż do czasu ozdrowienia komisarza. Komisarz Gromel i sierżant Kalk zostali karetką doktora odwiezieni do domów. — Stwierdziłem, że Ci nic nie grozi, więc wróciłem do siebie — nie masz chyba o to do mnie żalu — zakończył doktor i spojrzawszy na komisarza swym wzrokiem rozsądnym i chłodnym. Całą rzecz opowiedział krótkimi zdaniami, sucho i bez komentarzy, jakby chodziło o wypadki najzwyklejsze w świecie.

— Oczywiście, skąd, najmniejszego żalu — bąknął automatycznie komisarz Gromel, nakładając płaszcz. — A czy zawiadomiłeś Norda?

— Tak, zadzwoniłem do niego i powiedziałem mu co zaszło.

— Cóż on na to? — Z odcieniem niepokoju zapytał Gromel.

— Właściwie nic. Powiedział że to dziwny wypadek, ale że ty dasz sobie z tym radę.

Pułkownik Nord, szef Wydziału Policji Śledczej był zwierzchnikiem komisarza Gromela i od wielu lat okazywał mu w swój powściągliwy i małowimny sposób uznanie i zaufanie.

Jedno słowo nagany z ust pułkownika byłoby dla Gromela ciosem nielada. Na szczęście słowo to nie padło. Komisarz schodził po schodach domu doktora Alena z pewną otuchą, jakiej dodała mu ta, jedyna od wczoraj satysfakcja. Lecz już za chwilę rzuciły się nań spowrotem wyrzuty sumienia.

Komisarz Gromel to w swoim fachu gwiazda niebylejąca, nazwisko jego znane jest doskonale zarówno w kołach specjalistów, jak i wśród wszystkich ludzi mających, z tej czy z „tamtej” strony, jakiejkolwiek stosunki z policją śledczą. Nazwisko komisarza zabrzmiało nawet kilkakrotnie na łamach dzienników, z racji paru specjalnie głośnych i trudnych spraw, które rozwiązał w sposób brawurowy i lotny, wykazując niezwykłą pomysłowość i intuicję. Inna rzecz, że komisarz mało sobie cenił sławę i uznanie u „amatorów”, przede wszystkim zależało mu na opinii fachowej i na zdaniu zwierzchników.

Gromel nie był jak powieściowy Sherlock Holmes (z którego czasem lubił pokładować), mistrzem analizy i dedukcji, ani drobiazgowym obserwatorem faktów materialnych, tropiącym odciski butów zbrodniarza w kurzu ulicznym. Analizą wprawdzie posługiwał się umiały znakomicie, lecz zbytnio w jej rezultaty nie wierzył. Jego atutem była przede wszystkim niebywala, „syntetyczna” intuicja, poza tym błyskawiczna, choć czasem ryzykowna decyzja i wreszcie fanatyczna niemal żarliwość, z jaką zabierał się do sprawy. Nerozwiązany problem zbrodni leżał mu na sumieniu, na sercu i w tępocie tak dotkliwie, że komisarz musiał, za wszelką cenę musiał rozwiązać go jak najprędzej — było to prosto konieczne dla równowagi jego nerwów. Przewlekająca się sprawa działała nań jak choroba, jak ból, który domaga się dokonania operacji — stąd zresztą nieraz wynikały wady w działaniu komisarza: zbytni pośpiech, nerwowość, pobieżność. Jednak, w największym nawet pośpiechu, przed popełnianiem zasadniczych błędów ratowała go właśnie nieomylna „genialna intuicja” jak pisywano w prasie, „psi węch”, jak mawiali koledzy. Zdolność ta, dziwne, irracjonalne poza zmysłowe i poza rozumowe poznanie rzeczy, wskazywała mu, nie wiedzieć w jaki sposób, który ślad jest nie ważny i do niczego nie prowadzi, a który jest cenny, który trop trzeba pominąć, a którym podążyć, które poszlaki zlekceważyć, a do których się „przyczepić”. Dzięki temu śledztwa jego bywały często bardzo niekompletne — zaniedbywał cały szereg klasycznych prób i chwytów detektywistycznych, lekceważąc daktyloskopię, nie znał się ani na odczynnikach chemicznych, ani na gatunkach tytoniu — na których to rzeczach pono taką karierę zrobił legendarny Sherlock; często nawet, dla jakiegoś kaprysu napozór, przerywał nagle badanie świadków i odrzucał podstawowe elementy śledztwa. Intercosowały go bardziej dowody psychologiczne niż materialne, do których stale odnosił się nader sceptycznie. W początkach wieloletniej kariery Gromela było to przez zwierzchników widziane niezbyt dobrze, lecz niedługo zauważono rezultaty jego szybkich i irracjonalnych działań, rezultaty które mówiły same za siebie. — Wali na pewniaka, tak, jakby siedział w różnych ludziach naraz — mawiali koledzy. — Gdybym nie wiedział, że to swego rodzaju geniuś, pomyślałbym, że to kompletny dyletant — powiedział kiedyś pułkownik Nord, gdy Gromel był jeszcze tylko inspektorem policji kryminalnej. — To nie człowiek, to przeklęty pies! — zawałał jeden z przyłapanych przestępców zbrodniarzy.

Subtelny mechanizm wewnętrzny komisarza funkcjonował jak jakaś niezwykle czuła busola — stąd Gromel uważał często za ważniejsze i skuteczniejsze obserwować swoje wnętrze niż otoczenie. Lecz czasami aparat się wyczerpywał, intuicja zasypiała. Komisarz stawał się wtedy normalnym, analitycznym wyrobkiem, zmuszał się do cierpliwości i systematycznego sztukowania drobnych, szczegółowych obserwacji. Bardzo jednak tych okresów nie lubił i z utęsknieniem wyglądał nowego strumienia irracjonalnej, tworzącej inwencji. Sprawa szybkiego powodzenia w walce z przestępcą była dlań sprawą spokoju moralnego, gdyż, jak się rzekło, komisarz Gromel był policjantem ideowym.

Deszcz padał coraz gęściej, wiatr zry-

wał się coraz bardziej gwałtowny — zaiste, był to dzień wyjątkowo posępny, idealne tło dla ponurych wydarzeń, którymi zaprzęgnięta była myśl i wyobraźnia komisarza, brnącego uporczywie, jakby na świecie nie istniały ani taksówki, ani tramwaje, w kierunku owego zakątka Dzielnicy Północnej, gdzie znajdowało się mieszkanie profesora Galarda. Komisarz niewielką zresztą uwagą zwracał na otoczenie, machinalnie tylko unikając wejścia w kałużę czy wpadnięcia pod samochód. Z niepokojem wsłuchiwał się w swoje wnętrze, coraz bardziej utwierdzając się w niemym przekonaniu, że właśnie naszedł go taki okres uspienia „wewnętrzny węch”, okres kompletnego wyjałowienia władz psychicznych. Żaden głos nie mówił mu, jakim tropem podążyć ku rozwiązaniu zagadki dziwnych wydarzeń dnia wczorajszego, żadna intuicja nie wskazywała, które z tych wydarzeń było najważniejsze i zawierało w sobie klucz do całej sprawy. Z westchnieniem skonstatował, że trzeba wobec tego oprzeć się na normalnym, detektywistycznym rozumowaniu, a do tego znowu należało zgromadzić więcej materiału śledczego: przesłuchać szczegółowo lokatorów kamienicy i dozorczynię, zbadać dokładnie życie profesora Galarda i zrobić jeszcze wiele innych rzeczy, na które wcale, ale to wcale nie miał ochoty. Narazie jasne było tylko, że zarówno katastrofa samochodu — karetki doktora Alena, jak i tajemniczy telefon kobiety, przyjęty przez Gromela, to elementy tego samego planu, tej samej akcji, której rezultatem było porwanie zwłok. Zderzenie miało na celu opóźnienie przyjazdu doktora Alena, dziwaczna rozmowa telefoniczna zaś — odwrócenie uwagi komisarza od przybycia tajemniczego samochodu. Słowem — działała tu jakaś dobrze zorganizowana i świetnie poinformowana szajka — działała w sposób precyzyjny i inteligentny. Lecz co za cel mogło mieć porwanie zwłok w parę godzin po morderstwie? Tu znów odezwały się w komisarzu wyrzuty sumienia: trzeba było nie czekać na przybycie Alena obejrzeć i dokładnie obszukać trupa, to mogło dużo wyjaśnić — i teraz już za późno!

Myśl komisarza powróciła do szczegółów zbrodni, ujawnionych we wczorajszym, pierwotnym śledztwie. Był tu jeden punkt, który już wczoraj zwrócił jego uwagę: sprawa kota. Kot, według zeznań dozorczyń, zaczął gwałtownie miauczeć około godziny pierwszej po południu, tymczasem mleczarka już około dziesiątej rano stwierdziła, że w mieszkaniu profesora nikt się nie odzywał. Kot mógł wysłiznąć się z mieszkania tylko w chwili, gdy zbrodniarz czy zbrodniarze po dokonaniu swego czynu wychodzili na schody — mieszkania te miały przecież jedno wyjście. Dozorczyńi twierdzi, że kot najwidoczniej przebywał na strychu dłuższy czas, ale jednocześnie zauważała, że był w momencie odnalezienia go bardzo przestraszony. Nieprawdopodobne jest, aby przerażony kot siedział cicho na strychu parę godzin i dopiero po upływie tego czasu rozpoczął gwałtowne miauczenie, przerazić go przecież musiała sama zbrodnia, krew, szamotanie się, nieruchomość trupa. Niemożliwe też, aby przez parę godzin zachował się w stanie „zjeżenia” — aż do momentu, gdy rozpoczął „alarm”. A więc nasuwała się hipoteza, że zbrodnię popełniono dopiero po południu — wnioskowanie dozorczyńi, że kot przebywał na strychu czas dłuższy, co widać z tego, że był zakurzony, dałoby się może obalić; trzeba rzecz zbadać: prawdopodobnie na strychu jest kurzu bardzo dużo i zwierzę mogło się zabrudzić momentalnie. Jeśli zbrodnię popełniono w godzinach popołudniowych, a już o dziesiątej, wbrew zwyczajowi, w mieszkaniu profesora nikt się nie odzywał, z tego wniosek, że albo w momencie gdy mleczarka stuknęła do drzwi, zbrodniarze znajdowali się w mieszkaniu profesora, albo też profesora rzeczywiście wtedy nie było, wrócił później, poczynił dopiero został zamordowany. Ewentualność pierwsza mogła mieć znowu dwa warianty: albo, gdy mleczarka stuknęła, profesor już nie żył (temu właśnie sprzecyłyby jednak zachowanie się kota, dowodzące, jak się rzekło, że zwierzę przestraszone zostało dopiero w parę godzin później), lub też, w momencie stuknięcia mleczarki profesor i zbrodniarze byli w mieszkaniu, lecz nie chcieli otworzyć drzwi.

W takim razie goście i gospodarz musieli spędzić razem parę godzin, po czym dopiero popełniono morderstwo. Z tego wniosek, że musieli ten czas spędzić na rozmowie, czy na kłótni, może próbowano na profesorze coś wymusić; dalszy wniosek, jest jasny mordercy czy morderca byli znajomymi ofiary, a w każdym razie dłuższy czas rozmawiali z nią „pokojuwo”; za tym przemawiał również fakt, że nie widać było żadnych śladów walki. Przebieg wypadków zatem byłby przy przyjęciu tej ewentualności następujący: morderca czy mordercy przychodzą do profesora przed dziesiątą; w trakcie rozmowy stuknęła mleczarka na stukanie to jednak profesor (może pod przymusem) nie reaguje. Rozmowa trwa dalej, niewiele więcej niż trzy godziny; niezadowolony z jej wyniku zbrodniarze (raczej było ich kilku, gdyż tylko wtedy założycie można „glądając” bez walki poderżnięcie gardła) około pierwszej po południu zmienają mordując profesora, zabierają mu portfel i papiery, pobieżnie przeszukują mieszkanie, poczem wychodzą — w momencie ich wyjścia kot wyslizguje się na schody, śmiertelnie przerażony ucieka na strych, gdzie zaczyna miauczeć, alarmując dozorczynię. Zbrodniarze najwidoczniej wyszli niezauważeni — a może mieli kryjówkę w którymś z mieszkań kamienicy — trzeba było od razu zbadać wszystkie lokatory — to wielkie zaniedbanie śledztwa! W wypadku przeciwnym, jeśli by profesora o dziesiątej rano rzeczywiście w domu nie było, jeśli wrócił później, zaś zbrodniarze przyszli dopiero po południu, to powrót Galarda musiałby przecież zostać zauważony przez dozorczynię, która, po załatwieniu sprawy węglą, według własnego zeznania zajęła na stałe swój „posterunek” w bramie już kwadrans przed dziesiątą. Od momentu, gdy mleczarka poinformowała ją o nieobecności profesora i pozostawiła u niej mleko (było to parę minut po dziesiątej), dozorczyńi miała niewątpliwie wyostrzoną uwagę na tę sprawę i musiałaby powrót profesora spostrzec. Jeśli nie — najwidoczniej słuszny jest drugi wariant pierwszej hipotezy: że profesor spędził z mordercami przed swą śmiercią parę godzin. To rzucało specjalne światło na sprawę. W każdym razie należało jeszcze raz szczegółowo przesłuchać dozorczynię, obejrzeć strych i „przeegzaminować” kota. — Zebyż ten kot mógł przemówić — pomyślał z iskierką humoru komisarz — cóż to byłoby za nieoceniony świadek!

Zmęczony nieco porcją analizy i dedukcji, za którymi to rodzajami myślenia jak wiadomo nie przepadał, komisarz Gromel podniósł oczy i stwierdził, że znajduje się już na „ulicy profesora Galarda”, jak ochrzcił w myśli ten niemoty zakątek Dzielnicy Północnej. Wiatr gwizdał tu jak szalony, rzucając w oczy ostre bryzgi deszczowej wody — na chodnikach żywego ducha, tylko idiotyczne kamienne mordy sfinksów i smoków przypatrują się bezzmyslnie brukom nad bramami i balkonami. Wyjątkowo nieprzyjemna okolicą! Po chwili komisarz stał już przed trzypiętrowym domem, gdzie popełniono zbrodnię.

Jak wiadomo, kto się na gorącym sparzył dmucha na zimne. Dom obstawiony był policją, niczym sam Wydział Śledczy. Dwóch ludzi w bramie, jeden w podwórzu, dwóch na schodach, dwóch i dowódca w mieszkaniu. Dowódcą był sierżant Windal. Komisarz nie lubił tego brutalnego i ponurego, służbistego jak automat podoficera, lecz musiał przyznać, że w robocie był on bardzo sumienny i drobiazgowo dokładny. Zareportował komisarzowi, że mieszkanie jest od wczoraj w stanie nienaruszonym (sierżant spędził tutaj noc), telefon nie dzwonił i w ogóle nie się ciekawego nie wydarzyło, poza wizytami dziennikarzy, których jednak, w myśl zarządzenia doktora Alena, do mieszkania nie wpuszczano. Sprawa, niestety, przedostała się już do prasy. — To bardzo źle pomyślał Gromel — nie lubił gozeciarskiego rozgłosu w trakcie śledztwa. „Wszystkich wchodzących i wychodzących z kamienicy legitymowano, zresztą nie było ich wielu. W domu tym na każdym piętrze znajdowało się tylko jedno mieszkanie. W klatce schodowej, w której na pierwszym piętrze mieszkał profesor Galard, zamieszkało było poza tym jedynie drugie piętro, gdzie rezydowały dwie starszyski — emerytki. Na trzecim piętrze zamknięte mieszkanie stało pustką — zresztą zrewidowano je; na parterze był zakład zegarmistrzowski z wejściem od ulicy — przejścia na schody nie posiadał. Poza tym dom miał w podwórzu jeszcze jedną klatkę schodową, gdzie znajdowały się apartamenty większe, z dwoma wyjściami — frontowymi i kuchennym. Lokatorów tych mieszkań narazie nie przesłuchiowano. (C. d. n.)

Z zagadnień gospodarczych

Socjalizm angielski w ogniu krytyki

W jednym z ostatnich numerów radzieckiego tygodnika „Bolszewik”, poświęconego zagadnieniom gospodarczym ekonomista Blumin przeprowadza krytyczną analizę współczesnego systemu ekonomicznego Wielkiej Brytanii.

Artykuł poświęcony jest głównie polemice z założeniami ekonomicznymi Keynesa, a celem artykułu jest przeprowadzenie dowodu na to, że obecnie realizowany przez rząd Labour Party system polityki ekonomicznej, będąc w dużym stopniu oparty na założeniach doktryny Keynesa — jest co do swej istoty kontynuacją systemu kapitalistycznego, a przeprowadzone przez rząd reformy są jedynie fikcyjnym porzuceniem rydwanu kapitalistyczno-burżuazyjnego.

Ponieważ jesteśmy obecnie świadkami krytyki założeń gospodarczych Rządu Labour Party przez ówrodki czysto kapitalistyczne (przeważnie USA), zarzucające coraz silniejsze zastępowanie liberalizmu kapitalistycznego przez przymus socjalistyczny — podajemy w streszczeniu wywody autora, które są również krytyką systemu Labour Party, ale krytyką opartą na diametralnie innych przesłankach.

Autor zaczyna od stwierdzenia, że już około roku 1930 zdobywa sobie coraz większą popularność koncepcja „ekonomiki kierowanej”, zwalczająca ideę wolnego handlu i liberalizmu gospodarczego.

Jednakże koncepcja ta wyraża w istocie tendencję do ugruntowania kapitalizmu państwowego t. j. do zupełnego podporządkowania gospodarki społecznej i państwowej niewielkiej grupie wielkich i największych kapitalistów monopolistów. Jednym z głównych tematów wszystkich dyskusji ekonomicznych staje się kwestia zalet ekonomiki „kierowanej”, czy „planowej” w porównaniu z ekonomiką rozwijającą się żywiołowo.

Szczególnie silny wpływ na kształtowanie się tej koncepcji W. Brytanii wywarł w tym czasie lord Keynes, autor wydanej w r. 1936 książki „Teoria ogólna zatrudnienia, oprocentowania i pieniądza”. Według J. Elumina Keynesa opiera się na metodologii i pozycjach wyjściowych dawnej ekonomii politycznej.

Keynes w obliczu wyjątkowego wzrostu bezrobocia zmuszony był wysunąć sprawę rewizji tradycyjnego dogmatu na podstawie którego bezrobocie traktowane było jako zjawisko przypadkowe. Przyznając, że bezrobocie masowe stało się poważnym niebezpieczeństwem dla ustroju kapitalistycznego wysuwa on konieczność stworzenia „ogólnej teorii stanu zatrudnienia”, która wyjaśnić powinna jego statykę i dynamikę. Keynes dąży do udowodnienia, że teoretycznie możliwy jest „kapitalizm regulowany”, w którym nie będzie bezrobocia i przesilen gospodarczych.

Punktem wyjścia „teorii pełnego zatrudnienia” Keynesa jest teza, że źródła wszystkich trudności gospodarczych szukać należy w braku popytu, dysponującego środkami płatniczymi. Ogólny wzrost stanu zatrudnienia ogranicza się podług Keynesa niedostatecznością popytu, która przybrała w ostatnich czasach charakter chroniczny. Keynes rozróżnia w popycie społecznym dwa elementy — popyt do celów spożycia i popyt do celów produkcji. Usiłując wyjaśnić przyczynę, ograniczającą wzrost popytu do celów spożycia, Keynes powołuje się na teorię niedostateczności spożycia, w zakresie zaś popytu do celów produkcyjnych wysuwa odrębną teorię niedostatecz-

nej akumulacji kapitałów produkcyjnych. Keynes twierdzi, że niedostateczne spożycie nie byłoby tak wielkim złem, gdyby było kompensowane wzrostem akumulacji kapitałów produkcyjnych. Volumen wkładów kapitałowych, twierdzi Keynes, gra rolę decydującą przy określaniu stanu zatrudnienia i dochodu narodowego.

Ujawniająca się obecnie wśród ekonomistów burżuazyjnych teoria niedostateczności spożycia wiąże się z poszukiwaniem metod „reformowania” kapitalizmu. Chodzi o to, że teoria ta daje bardzo wygodny oręż ideologiczny do uzasadnienia wszelkich recept kuracji kapitalizmu w drodze tak zwanej „wysokiej płacy zarobkowej”. Teoria niedostateczności spożycia cieszy się dlatego tak wielkim powodzeniem w kołach „reformistów”, że zajmując krytyczne stanowisko wobec poszczególnych wad systemu podziału dóbr, nie dotyka najgłębszych sprzeczności produkcji kapitalistycznej.

Największe zło współczesnej ekonomii kapitalizmu widzi Keynes w nadmiernym wroście oszczędności t. j. w powstawaniu olbrzymiego nadmiaru kapitałów pieniężnych których się nie wykorzystuje ani do celów konsumcyjnych, ani produkcyjnych. Według Keynesa oszczędności, których się nie wykorzystuje jako wkładów kapitałowych są w rzeczywistości dla dochodu narodowego stratę. Dlatego Keynes wypowiada wojnę „skłonnościom do oszczędzania” i radzi popierać wszelkimi sposobami wzrost spożycia bezpośredniego, lecz przede wszystkim wzrost inwestycji.

Centralne miejsce w systemie poglądów ekonomicznych Keynesa zajmuje jednak zagadnienie czynności hamujących akumulację produkcyjną. W tej dziedzinie decydującą rolę wg „nauki” Keynesa odgrywają dwa czynniki psychologiczne. Pierwszy oddziaływa na poziom stopy kredytowej, drugi na stopień wydajności t. j. rentowności kapitałów. Ta „nauka” Keynesa o wydajności kapitału jest również typowa dla burżuazyjnej ekonomii politycznej w epoce powszechnego kryzysu kapitalizmu.

Keynes kładzie główny nacisk na brak wystarczających bodźców, któreby zachęciły kapitalistę do działalności inwestycyjnej, oraz na fakt nadmiaru kapitałów pieniężnych. W jednej z prac swoich Keynes pisze o groźbie nastąpienia „dnia sądu ostatecznego”, gdy zbraknie nowych wkładów inwestycyjnych. Stąd wyciąga wniosek o konieczności uzupełnienia braku inwestycji prywatnych

w drodze zwiększenia działalności inwestycyjnej państwa.

Wszystko to jest dowodem, że tak głośna w ostatnim dziesięcioleciu ogólna teoria stanu zatrudnienia Keynesa jest teorią błędną i pseudonaukową. Przede wszystkim jest ona pozbawiona historycznego podejścia do sprawy bezrobocia. Keynes wysuwa zagadnienie bezrobocia w ogóle nie zaś w zastosowaniu do kapitalistycznego sposobu produkcji. Nic nie ma dziwnego, że przy takim pozhistorycznym stawianiu zagadnienia brak w wywodach Keynesa rzeczy najistotniejszej, mianowicie zrozumienia tego, że bezrobocie jest przynależnością kapitalistycznego sposobu produkcji i stałym jego towarzyszem. Keynes natomiast, traktując bezrobocie jako zjawisko od kapitalizmu niezależne, wyciąga stąd fałszywy wniosek o możliwości zlikwidowania bezrobocia w ramach kapitalistycznej postaci wytwórczości. Wniosek ten skwapliwie został podchwyczony przez współczesnych reformatorów burżuazyjnych. Po drugie Keynes odrywa się od zasadniczego przeciwieństwa klasowego — przeciwieństwa między burżuazją a proletariatem, odrzucając decydującą dla kapitalizmu kategorię nadwartości. Keynes wysuwa na plan pierwszy przeciwieństwo między kapitałem pieniężnym i produkcyjnym, które to przeciwieństwo znajduje swój wyraz w stopie kredytowej. Ale w rzeczywistości to przeciwieństwo nie jest zasadniczym, lecz wtórnym. „Rozprawienie się z trudnościami ekonomicznymi kapitalizmu przychodzi Keynesowi względnie łatwo dlatego, że źródle tych trudności szuka on w przeciwieństwach drugorzędnych, związanych z systemem kredytowym.

Po trzecie „ogólna teoria stanu zatrudnienia” Keynesa wychodzi z założenia niezmienności poziomu technicznego. Innymi słowami Keynes odrywa się od tak decydującego czynnika tworzenia się rezerwową armii pracy, jakim jest zmiana struktury organicznej kapitału¹⁾, związaną nierozdzielnie z postępem technicznym. Już to samo z zupełną oczywistością wskazuje błędność Keynesowskiej metodologii. Keynes pomija całkowicie tę okoliczność, że w warunkach kapitalizmu rozwój techniki i wzrost wydajności pracy, zmniejszając popyt na siłę roboczą sprzyja wzrostowi bezrobocia. Wiadomo, że w Angli już w trzydziestych latach naszego stulecia bezrobocie przybrało charakter chroniczny

¹⁾ t. j. wzrost udziału kapitału inwestycyjnego i zmniejszenie się udziału kapitału obrotowego.

i wyniosło około 2 miliony ludzi. Niewątpliwie jest również, że w okresie powojennym Anglia znów stanie wobec faktu chronicznego bezrobocia w większej jeszcze skali niż przed wojną.

Po czwarte Keynes, usiłując przy pomocy swej „ogólnej teorii stanu zatrudnienia” wyjaśnić przyczynę chronicznego masowego bezrobocia w epoce powszechnego kryzysu kapitalizmu, przemilcza specyficzne sprzeczności, charakteryzujące okres imperializmu, a przede wszystkim przemilcza politykę monopoli, sztucznie ograniczających produkcję w celu śrubowania cen i superdywidend.

Główny wniosek praktyczny, który wyciąga Keynes ze swej „ogólnej teorii stanu zatrudnienia” sprowadza się do tego, że przy dzisiejszym stosunku wzajemnym poziomu rentowności produkcji i stopy dyskontowej, żywiołowy mechanizm konkurencyjny nie może zapewnić pełnego stanu zatrudnienia. Wyjście z tej sytuacji widzi Keynes w t. zw. „ekonomice kierowanej”, a przede wszystkim w reglamentacji przez państwo wkładów kapitałowych. W związku z tym Keynes upoczywie przeprowadza twierdzenie, że wprowadzenie kontroli państwa nad inwestycjami bynajmniej nie oznacza konieczności przejścia własności kapitalistycznej do rąk państwa. Według „teorii” Keynesa państwo powinno regulować ogólny volumen spożycia i inwestycji kapitałowych w drodze polityki podatkowej. Oddziaływując na stopę dyskontową, państwo powinno ustalić odpowiednią proporcjonalność tempa wzrostu spożycia i wkładów inwestycyjnych, lecz nie powinno zrobić ani jednego kroku, któryby naruszał „świętą” własność prywatno - kapitalistyczną.

Rzeczywistą treścią programu ekonomicznego Keynesa jest postulat wzmocnienia państwowo - monopolistycznego kapitalizmu. Koncepcja Keynesa oparta jest na wierze w to, że państwo burżuazyjne, zachowując podstawę kapitalizmu, czyli własność prywatną środków produkcji — może przezwyciężyć konieczności żywiołowe i zlikwidować przesilenia gospodarcze, bezrobocie itp.

Wreszcie podkreślić należy, że Keynes, podobnie jak zwolennicy niczym nie ograniczonego kapitalizmu jest również zwolennikiem ataku na klasę robotniczą. Twierdzi on, że rozróżniać trzeba dynamikę płacy nominalnej i realnej i że stan zatrudnienia zależy od poziomu płacy realnej. Istota wniosków Keynesa sprowadza się do tego, aby — utrzymując poprzedni poziom płacy nominalnej — obniżyć w drodze polityki inflacyjnej płacę realną. Tej metodzie oddać należy według niego pierwszeństwo, gdyż nie wywoła

ona sprzeciwu ze strony robotników, walczących rzekomo tylko o płacę nominalną.

Idee Keynesa spotkały się z barczącym życzliwym przyjęciem wśród labourystów.

Wykorzystując na wielką skalę w swej robocie propagandowej różne idee i wnioski co do zreformowania kapitalizmu, pochodzące ze szkoły Keynesa, labouryści usiłują nadać im zabarwienie socjalistyczne. W założeniu tych prób przedstawienia reform burżuazyjnych jako realizacji socjalizmu tkwi utożsamienie rządzeń państwowo - kapitalistycznych z socjalistycznymi. Wychodząc z tego utożsamienia labouryści skłonni są traktować wzmocnienie interwencji państwa do ekonomiki jako wyraz tendencji socjalistycznych

Opierając się na tej samej przesłance, labouryści twierdzą, że w każdym współczesnym społeczeństwie tkwi jądro socjalizmu czyli mniejszy lub większy sektor zsocializowany w życiu gospodarczym społeczeństwa.

Ta teoria sektora zsocializowanego, który pokojowo współżyje z ustrojem kapitalistycznym w ramach współczesnego społeczeństwa burżuazyjnego jest bardzo wygodna dla agitacji labourystowskich. Wykorzystują ją labouryści w tym celu, aby przedstawić przeprowadzone przez nich częściowo unarodowienie niektórych gałęzi, jako wielki krok naprzód na drodze realizacji „nieustającego postępu socjalizmu”.

W rzeczywistości jednak nie ma i być nie może żadnego „zsocializowanego sektora” w społeczeństwie burżuazyjnym. Nie można stworzyć socjalistycznego systemu produkcji kawałkami.

Ekonomika socjalistyczna nie może być realizowana przy pozostawieniu władzy politycznej i decydujących pozycji w rękach bużuazji. Labouryści przemianowują kapitalizm państwowy na socjalizm. Frazeologia socjalistyczna jest dla nich etykietą niezbędną, aby zdobyć sympatię mas. Obiektywną zaś treścią polityki ekonomicznej labourystów jest umocnienie pozycji brytyjskiego kapitalizmu na podstawie poczynań państwowo - kapitalistycznych. Temu służy celowo unarodowienie przez labourystów tych gałęzi produkcji, w których niezdolność kapitału prywatnego do zrealizowania niezbędnej reorganizacji najbardziej bije w oczy. Przejście tych gałęzi produkcji w ręce państwa przyspieszyć powinno ich techniczną przebudowę, zapewnić obniżkę kosztów produkcji, zwiększyć zdolność konkurencyjną przemysłu angielskiego na rynku światowym. Przygniatająca część produkcji przemysłowej pozostaje przy tym w rękach kapitału prywatnego.

Charakterystyczny jest dla polityki labourystów nie tylko wybór gałęzi podlegających unarodowieniu, lecz również warunki jego realizacji: Labouryści gorąco bronią zasady „sprawiedliwego odszkodowania” właścicieli unarodowionych przedsiębiorstw. Zasada ta proklamowana została utoczyście jeszcze w programie labourystów uchwalonej na konferencji w r. 1934. Jednakże pojęcie „sprawiedliwego odszkodowania” jest bardzo rozciągłe. Za podstawę odszkodowania właścicieli kopalń przyjęty został zysk przedwojenny w wysokości 12 milionów funtów, pomnóżony przez określoną liczbę lat. Lecz ta wysoka liczba zysku w górnictwie węglowym była jednak oparta na zbyt niskich zarobkach górników i na monopolistycznej cenę sprzedaży węgla. Z tego wynika, że w ustalonej przez rząd labourystów sumie odszkodowań kapitalizuje się w rzeczywistości monopolistycz-

JUSTUM PRETIUM

Nie należeliśmy do tych, którzy byli skłonni sprowadzać przyczynę zaburzeń na odcinku cen do jednej przyczyny — do spekulacji. Tym niemniej nie kwestionowaliśmy i nie kwestionujemy, że jest to czynnik poważnie hamujący rozwój życia gospodarczego.

Spekulacja jest nie tylko problemem mechanizmu gospodarczego, lecz przede wszystkim stanowi problem moralny i jako taki winien być przedmiotem szczególnej uwagi tak katolików indywidualnie, jak i obozu katolickiego.

Aby uniknąć nieporozumień wyjaśniamy, że zgodnie z powszechną opinią przez spekulację uważamy nieuczciwą działalność gospodarczą, posiadającą różne przyczyny, które przeważnie polegają na pobieraniu nadmiernej ceny zysku w drodze nadmiernych cen towarów i usług.

Możliwe, że powyższe sformułowanie nie jest ściśle, jednakże jest ogól-

nie przyjęte i uzasadnia słuszność walki ze spekulacją.

Walka ze spekulacją toczy się nie od dziś. Podjął ją w średniowieczu Kościół. Św. Tomasz z Akwinu wyjaśnił genialnie moralne zasady działalności gospodarczej, formułując pojęcie słusznej ceny, t. zw. iustum pretium. Chrześcijańskie cechy czuwały nad uczciwością swych członków.

Te wielkie tradycje obozu katolickiego walki ze spekulacją, walki z nieuczciwością w życiu gospodarczym nasuwają pytanie, jaka obecnie jest postawa tego obozu na tym odcinku.

Księża nauczają na kazalnicy i przy konfesjonalach, lecz, jak się wydaje, wiele, wiele za mało w stosunku do aktualnych potrzeb. Zespołowych akcji nie widać wcale. Co gorsza, wielu katolików narusza najbardziej prymitywne zasady uczciwości i równości i usprawiedliwia się przeróżnymi okolicznościami wbrew temu, że normy moralne są jednakowe w każdym warunkach, że są bezwzględne.

Ten stan rzeczy może być dla nas katolików nieprzyjemny, tym niemniej jest prawdziwy. Jego ujawnienie bez obłudy, bez zakłamania jest konieczne, aby go zmienić.

Walka ze spekulacją, innymi słowy z nieuczciwą działalnością gospodarczą jest jednym z najważniejszych zadań każdego poszczególnego katolika, jak i zespołów katolików. Przypomnienie tego obowiązku jest szczególnie ważne dziś, kiedy nieuczciwość stała się plagą w naszym życiu gospodarczym. Oboz katolicki nie może pozostać obojętny lub prawie obojętny w stosunku do tego problemu.

Oboz katolicki musi zająć również w tej dziedzinie stanowisko ofensywne, musi wpracować konstruktywny program walki i program ten realizować. Tego wymagają przykazania Boże, tego wymaga tradycja, na to oczekuje społeczeństwo, które widzi w obozie katolickim awangardę postępu moralnego.

(L.)

na nadwyżkę zysku. A to znaczy, że bankrutujący właściciele kopalń zawarli bardzo korzystną transakcję — otrzymując zamiast zdeprecjonowanych akcji, państwowe obligacje z gwarantowanym dochodem. Poza tym zostali oni na poprzednich stanowiskach w charakterze administratorów.

W ten sposób nacjonalizacja labourystowska nie osłabia pozycji kapitalistów. Zapewnia im ona inkasowanie gwarantowanego dochodu, opartego na zysku przeciętnym szeregu ostatnich lat, oraz pozostawia w ich rękach kierujące stanowiska w unaradawianych gałęziach gospodar-

ki. Nie wywołuje więc ona żadnych zmian istotnych, ani w podziale dochodu narodowego, ani w organizacji produkcji i obejmuje głównie deli-cytowe gałęzie produkcji, których upaństwowienie odpowiada interesowi burżuazji angielskiej.

Ogromne sumy odszkodowań dla kapitalistów spadają całym swoim ciężarem na społeczeństwo, ograniczając możliwość przeznaczenia wy-starczających funduszy dla reorgani-zacji unarodowionych gałęzi gos-podarki. Wykonanie zasady „sprawiedliwego odszkodowania” prowa-dzi do dalszego pęcznienia pasożyt-

niczej warstwy rentierów pochłania-jących znaczną część dochodu naro-dowego. Ta zaś z kolei powoduje wzrost pasożytniczego spożycia ogra-niczającego możliwości akumulacji produkcyjnej. Nie mówimy już o tym że konieczność wypłacenia ogrom-nych odszkodowań byłym właścicielom poważnie ogranicza możliwość podniesienia poziomu zarobków.

Teoretyczna koncepcja Keynesa i labourystów odzwierciedlają po-szukiwania jakiegoś nowego „kapi-talizmu, wolnego od przesilen gospo-darczych i bezrobocia.

Keynesowcy i labouryści zapew-

niają klasę pracującą angielek, że możliwym jest przy zachowaniu ka-pitalizmu zastosowanie gospodarki planowej, usunięcie przesilen gospo-darczych, likwidacja bezrobocia itp. Lecz zatuszowują oni ten fakt, że ży-wiołowe prawa kapitalizmu związane są nierozdzielnie z panowaniem burżuazyjnej własności prywatnej. Głoszą oni utopijną wiarę w rzeko-mą możliwość zlikwidowania w pań-stwie burżuazyjnym żywiołowych praw kapitalizmu, przy zachowaniu kapitalistycznego ustroju. Omijają oni główną przyczynę przesilen gos-podarczych — zasadniczą sprzecz-

ność pomiędzy społecznym charakte-rem produkcji, a prywatno - ka-pitalistyczną formą przywłaszczania jej owoców, która to sprzeczność związana jest nierozdzielnie z ka-pitaistycznym sposobem produkcji. Ażeby rozwiązać radykalnie zagad-nienie przesilen gospodarczych i bez-robocia, należy usunąć grunt na któ-rym wzrastają te zjawiska. Gruntem zaś tym jest kapitalizm. Ten decy-dujący fakt ignorują ekonomiści burżuazyjni, co nieuchronnie skazu-je na niepowodzenie ich konstrukcje teoretyczne i programy praktyczne. (k).

Olbrymie sukcesy japońskie, które pozwoliły „złótemu niebezpiecz-estwu” — niczym woda po prze-rznięciu tamy — zalać posiadłości al-ianckie, rozciągające się tysiącami kilometrów wzdłuż i w poprzek po-łudniowo - zachodniego Pacyfiku, przypisać należy w głównej mierze zwycięstwom japońskiej floty, a ściślej rzecz biorąc — japońskiego lot-nictwa morskiego, nad flotami państw nieprzyjacielskich, Stanów Zjednoczonych, Imperium Brytyjskie-go i Królestwa Holenderskiego. Przerwaniem tamy, które wyzwoliło żywioł, był atak na Pearl Harbour i bitwa pod Kuantan, gdzie Japoń-czyzy przetrącili kościec anglo-amerykańskiej floty liniowej, której gros legło na dnie oceanu pod ciosami lotników mikada. Zwłaszcza kata-strofny dla amerykańskiej floty Pacyfiku był rezultat podstępnego ataku japońskiego na jej siedzibę, gdzie wszystkie okręty liniowe, w liczbie dziewięciu zostały zatopione względnie poważnie uszkodzone. A jednak nawet zwycięstwo japońskie na Pearl Harbour, daleko przewyższające ich najsmielsze przewidywa-nia, nie było zwycięstwem całkowitym, mimo że przygotowało grunt pod późniejsze zwycięstwa morskie i lądowe, w trakcie których zniszczone zostały wszystkie pozostałe alianckie okręty na Pacyfiku i zdo-byte przez Japończyków Malaje, In-donezja, Filipiny i inne posiadłości alianckie wraz z potężnymi bazami w Singapoore, Hong-Kong czy Cor-regidor. W wyniku zwycięskich walk Japońscy stanęli u wrót Indii i na przedpolu Australii. Jednak wśród wielu owoców, jakie przyniosły zwycięstwa morskie, lądowe i powietrzne, zabrakło jednego, nie tylko naj-wspanialszego, ale i dojrzałego już w pierwszym dniu wojny. Zabrakło Pearl Harbour wraz z całym archipe-lagiem hawajskim, najważniejszej ods-kochni do dalszego ataku na naj-ogrożniejszego, a najmniej przysto-powanego wówczas do wojny wroga: Stany Zjednoczone. I dlatego admirał Isoroku Yamamoto, głównodo-wodzący Zjednoczonych flot Japonii (taką nazwę nosi japońska flota wo-jenna), przemawiając do załóg samo-lotów i okrętów, które triumfalnie wróciły po wykonaniu ataku na Pearl Harbour, nie bez słusznego powie-dział, że sukces z Pearl Harbour daje Japonii na sześć miesięcy wolną rękę w działaniach na południo-wo-zachodnim Pacyfiku, tym niemniej nie jest zwycięstwem całkowitym. Aby odnieść takie zwycię-stwo — powiedział Yamamoto — należy zająć wyspy hawajskie i zdo-byc w ten sposób podstawę do decy-dującego ataku na Stany Zjedno-czone, który pozwoli doprowadzić do takiej chwili, w której on, Yamamo-to, będzie mógł dyktować pokój w Białym Domu.

Kim był człowiek, który chciał dyktować pokój w siedzibie każdo-rzędowego prezydenta Stanów Zjed-noczonych? Jakie osiągnięcia życio-we wyniosły go na stanowisko, upo-ważniające do wypowiedzenia tak rzu-chawych słów, świadczących o nie-mniejszej wierze w swe siły i o co najmniej równym zasłepieniu i nie-decencyjności sił przeciwnika, jakie ce-chowały Führera „Wielkich Niem-ców”? I przede wszystkim, jakże miał w swym ręku atuty?

Isoroku Yamamoto rozpoczął swą karierę wojskową krótko przed wy-buchem wojny rosyjsko-japońskiej 1904/5 roku i brał udział w bitwie pod Cuszim, wchodząc w skład za-łogi okrętu liniowego „Nishin”, nale-żące do eskadry podporządkowa-nej bezpośrednio admirałowi Togo. Odnaczywszy się w tej bitwie, mło-dy Yamamoto zwrócił na siebie u-wagę wielkiego admirała, nie więc dziwnego, że odtąd szybko — jak na japońskie stosunki — awansuje. W 1922 roku mają z nim po raz pierw-szy bliżej do czynienia jego przyszli anglosascy przeciwnicy, kiedy Yamamoto jako członek delegacji ja-pońskiej bierze udział w konferencji flotowej w Waszyngtonie, na której ustalono wzajemny stosunek sił An-

Szeroki horyzont Człowiek, który chciał dyktować pokój w Białym Domu

glii, Stanów Zjednoczonych i Japo-nii na 5:5:3. Sędziwi już wówczas Togo, na wieść o ograniczeniu zbro-jeń morskich i nieprzyznaniu Japonii parytetu z mocarstwami anglosaskimi, miał powiedzieć: — Wyzkolenie nie zostało, na szczęście, ograniczone! Słowa te stały się hasłem japoń-skiej floty i jej dowódców w dwud-ziestolecie przygotowań do wojny, które Japończyzy prowadzili z wrodzoną im mroczą pracowitością, pragnąc jakością okrętów i poziomem wyszkolenia ich załóg wyrównać przewagę materialną państw anglo-saskich. W dziele tym, w pracy nad zwiększeniem potencjału militarnego japońskiej marynarki wojennej, zas-lugi położone przez admirała Yamamoto zajmują wśród innych bez-sprzecznie wyjątkowe miejsce. Yamamoto przewidując trafnie, że w przyszłej wojnie oceanicznej nie mniejszą rolę od okrętów liniowych będą odgrywały lotniskowce i że od ich ilości i stanu lotnictwa morskie-go, które uważa za broń przyszłości, zależy będą losy wojny na Pacyfiku, wstępuje do lotnictwa morskiego, święto w Japonii tworzono, i za wyjątkiem krótkiego pełnienia funk-cji attaché morskiego w Waszyngtonie, piętnaście lat poświęca pracy nad stworzeniem silnego lotnictwa morskiego, którego już na kilka lat przed wybuchem wojny zostaje naczelnym dowódcą. I właśnie on uwa-żany jest przez swoich i obcych za właściciela twórcę tej najgroźniejszej japońskiej broni.

Już w 1923 roku zostaje oddany do służby pierwszy lotniskowiec ja-poński „Koga”, po nim szybko następują dalsze. Piloci, obsługujący zaokrętowane na lotniskowcach sa-moloty otrzymują staranne wyszko-lenie, ale nie ma w nim nic rewelacy-ego. Personal lotnictwa morskiego innych państw jest równie starannie wyszkolony; wypływa to zresztą z samego charakteru służby, du-żo cięższej niż na lądzie i stawiającej wyższe wymagania, przede wszy-stkim idealnego wprost opanowania techniki startu i lądowania, na ogra-niczonym lądowisku — pokładzie lot-niskowca. A jednak Yamamoto re-wolucjonizuje wyszkolenie japoń-skich lotników morskich, kiedy po okresie dowodzenia lotniskowcem „Akagi” zostaje dowódcą pierwszego korpusu lotnictwa morskiego, a póź-niej całego lotnictwa morskiego. Je-go metoda wyszkolenia swych lotni-ków morskich na najlepszych pilotów świata, jest w grubszym zarysie nastę-pująca. Przyjmuje tylko ochotników, a garna się ich tysiące — zawsze więcej niż potrzeba. Dolną granicą wieku przyjęcia — nota bene bar-dzo chętnie widziana — jest 15 lat, wyszkolenie trwa 8 (!) lat, w trak-cie których każdy pilot odbyć musi 8.000 prób startu i lądowania na po-kładzie lotniskowca, nawet przy naj-gorszych warunkach atmosferycz-nych i najbardziej burzliwym morzu aż do tajfunu włącznie, i w wszy-stkich porach dnia i nocy. Jeżeli się uświadomi, że start i lądowanie na ograniczonych rozmiarach pokładzie lotniskowca nie należy do rzeczy łat-

wych, zwłaszcza że odbywają się, gdy lotniskowiec płynie pod wiatr i wy-starczy niespodziewana zmiana kie-runku wiatru, aby lądujący, czy startu-jący samolot znalazł się w wodzie, wówczas można się zgodzić, że po 8 latach nauki i 8 tysiącach prób — piloci japońscy wyszkoleni byli zna-nymie. Jeśli zaś weźmiemy jeszcze pod uwagę ich fanatyzm i pogardę śmierci, nie będzie wtedy dziwne, że odnieśli szereg wspaniałych sukcesów o jakich lotnicy innych państw mogli tylko marzyć.

W roku 1940 Yamamoto zostaje mianowany głównodowodzącym Zje-dnoczonych Flot Japonii. Nominacja ta w obliczu nadsięgającej burzy wo-jennej jest zupełnie zrozumiała. Któż bardziej nadawał się na stanowisko naczelnego wodza floty japońskiej, niż ten, który stworzył i wyszkolił jej najgroźniejszą broń ofensywną? Nikt, nawet wszechpotężny szef za-tabu japońskiej marynarki wojennej, admirał Nagano, który też — rzadki to objaw bezstronności i poświęce-nia własnych ambicji — poparł młod-szego wiekiem i rangą admirała Ya-mamoto całą mocą swego autorytetu.

Z chwilą nominacji rozpoczyna się właściwie już rola, jaką Yamamoto odegrał w minionej wojnie. Rozpo-czyną on przygotowania planów wo-jiennych do zbliżającego się nie-uchronnie konfliktu zbrojnego z mo-carstwami anglosaskimi i już w sty-czni 1941 roku przedstawia swym współpracownikom sztabowym pro-pozycję planu wojennego i rozpo-czyną wraz z nimi pracę nad uleps-zeniem dróg i sposobów, zmierz-ających do jak najszybszego zrealizo-wania wytycznych. Gotowy plan zo-staje przedstawiony podczas trwają-cych dwanaście dni wielkich gier wo-jennych z udziałem najwyższych do-wódców japońskich, w pierwszym po-łowie września 1941 roku w Tokio.

Plan Yamamoto wywołuje sporo sprzeciwów wśród najstarszych strate-gów japońskich, przede wszystkim jednak wywołuje niemałe zdziwienie z powodu swej „rozpiętości”, gdyż wysuwał on równocześnie działania na frontach odległych od siebie o 5.000 mil morskich, czyli przeszło 9.000 kilometrów! Był o tyle rewelacy-jny, że łączył koncepcje dwóch, od długich lat toczących spór, obozów japońskich sztabowców, chcących każdy w innym kierunku pchnąć ja-pońską ekspansję: jeden na wschód (Hawaje), drugi na południe (Morze Południowe z Indonezją i Malajami). Obóz pierwszy dążył do walki naj-pierw z Stanami Zjednoczonymi, plan drugiego godził przede wszy-stkim w posiadłości brytyjskie, Indie i Australię, gdyż zwolennicy jego chcieli rozparcelować Imperium Bry-tyjskie, wychodząc z założenia, że dla jego obrony Stany Zjednoczone nie przystąpią do wojny z Japonią, za-dawałaj się udziałem w pobrytyj-skiej masie upadłościowej. Yamamoto w neutralności amerykańską w żadnym wypadku nie wierzył i zdawał sobie sprawę z tego, że Stany Zjed-noczone mogą pokonać Japonię nawet nie prowadząc z nią wojny, a wspo-magając Chiny i utrzymując em-

bargo na paliwo. Dlatego też plan jego, będący połączeniem obu koncepcji, przewidywał uderzenie na flotę amerykańską w celu uzyskania na jakiś czas wolnej ręki do działań w Chinach i na Morzu Południo-wym, gdzie miały być zdobyte nie-zbędne do prowadzenia dłuższej wo-jny surowce, później dopiero miało nastąpić decydujące uderzenie na Stany Zjednoczone. Celem zabezpie-czenia się przed ewentualnymi nie-spodziankami ze strony Wielkiej Bry-tanii i jej floty, plan przewidywał równoczesne uderzenie na Pearl Harbour i Malaje, których zdobycie mia-ło dać Japończykom największą ba-zę brytyjską na Dalekim Wschodzie, Singapoore.

Plan Yamamoto został zatwierdzo-ny przy wybitnym poparciu admirała Nagano i rozpoczęto przygotowania do wykonania przedsięwzięcia, któ-rego wynik przesądzić mógł całkowi-cie udanie się lub pokrzyżowanie wszystkich dalszych etapów wojny. 5 listopada 1941 roku opracowany został dokładny plan ataku na Pearl Harbour, a 2 grudnia wyznaczono datę ataku na 8 grudnia. Celem lep-szego zamaskowania swych intencji wysłano do Waszyngtonu dyplomatów dla podjęcia prób mediacyjnych i u-trzymano przed nimi w całkowitej taj-emnicy przygotowania do podstęp-nego ataku.

Jak powszechnie wiadomo, atak na Pearl Harbour zakończył się powo-dzeniem i zamiast amerykańską ba-zę na cementarzyko okrętów, Desantu na wyspach hawajskich jednakże nie przeprowadzono i to był pierw-szy wielki błąd, jaki popełnił Yamamoto. Obawiano się grupowania flo-ty inwazyjnej, której rozmiary mog-ły zdradzić przedwcześnie przygo-towania wojenne, a zresztą część flo-ty nie uczestnicząca w ataku na Pearl Harbour miała inne zadania do wy-konania: przeprowadzenie desantów na Malajach, które ze względu na ich odległość od japońskich wysp macierzystych musiały być wyjątko-wo starannie przeprowadzone. Lądowanie na wyspach hawajskich miało natomiast nastąpić w czwartą i przedostatniej fazie wojny, po zniszczeniu amerykańskiej floty Pacyfiku i zdobyciu głównych baz brytyjskiej floty Pacyfiku — Hong-Kong i Sin-gapoore (pierwsza faza), zabezpiecze-niu gospodarczym Japonii przez zdo-bycie Malajów, Borneo, Sumatry i Jawy i uzyskaniu możliwości ek-sploatacji najważniejszych surowców — nafta, ruda żelazna, cyna, kauczuk (faza druga) i odcięciu drogi bur-mańskiej w celu odseparowania i zwyciężenia Chin (trzecia faza). Fazą piątą i ostatnią miał być atak na Stany Zjednoczone. Co do Wielkiej Brytanii, Yamamoto był przekonany, że w obliczu sukcesów niemieckich i japońskich zavrze ona pokój z Ja-ponią, wyrzekając się Malajów i in-nych mniejszych posiadłości oraz wy-cofa się z Indii, które staną się samodzielnym państwem (pod japoń-skimi wpływami). W ten sposób Ja-ponia po podbiciu całej południowo-wschodniej Azji stałaby się pierwszą potęgą na Dalekim Wschodzie. Początkowo wszystko szło plano-

wo. Zdobycie Hong-Kong, półwysp malajski wraz z Singapoore, archipe-lag sundajski z Jawą, Sumatrą i Borneo oraz mniejszymi wyspami, i na-wet — co nie było początkowo w planie — Filipiny wraz z silną bazą amerykańską Corregidor. Przy oka-żi rozgromiono całą aliancką flotę w kolejnych zwycięstwach pod Kuantan, na Morzu Jawajskim (dwie bitwy i na Oceanie Indyjskim. Odcięto także drogę burmańską. I teraz Yamamoto popełnił drugi, niemniej dotkliwy od pierwszego, błąd. Miał realizować konsekwentnie swój plan i uderzyć na wyspy hawajskie, które wtedy (początek kwietnia) jeszcze miał szansę zdobyć, gdyż ciężko poranio-na w Pearl Harbour flota amerykań-ska była dopiero w trakcie gojenia ran, a nowe okręty miała w budowie, Yamamoto niespodziewanie rzucił swą flotę w zupełnie innym kie-runku: na Australię. Japończyzy lądują na wyspach okalających Australię, rozciągając swój i tak zbyt na ich możliwości wielki front i dają Amerykanom możliwość odbudowy ich floty. W sierpniu rozpoczynają się też kontratakami amerykańskim ląd-gotrwałymi walki o wyspy Salomona. A w listopadzie pojawiają się na wodach południowo-zachodniego Pacy-fiku nowe pancerniki amerykańskie. W rok po wybuchu wojny Stany Zje-dnoczone są już wyraźnie w akcji ofensywnej.

Kwietniowy, drugi błąd popełniony przez Yamamoto, wyratował z duże-go kłopotu Wielką Brytanię, która spodziewała się akcji japońskiej floty na Oceanie Indyjskim, stojącym o-tworem po porażkach brytyjskiej flo-ty, która wycofała się do Zatoki Per-skiej i wschodniej Afryki. Flota japońska jednak, poza jednym wypad-em na Ocean Indyjski w pierwszej połowie kwietnia, więcej się na nim nie pokazała. Okazja nie została wy-korzystana i nie nadarzyła się już więcej.

Walki o wyspy Salomona były tymczasem pierwszą zwycięską kam-panią Stanów Zjednoczonych i pierw-szą przegraną przez Japończyków. Jej końca i późniejszego marszu a-merykańskiego „zabimi skokami” na Japonię Yamamoto już nie doczekał. Zestrzelony w kwietniu 1943 roku z samolotem, z pokładu którego kiero-wał jedną z operacji koło Salomo-nów. Można jednak przypuszczać, że rozwój wypadków w ostatnim półro-czu przed jego śmiercią, począwszy od wielkiej, trzydniowej bitwy morskiej pod Guadalcanar (13—15 listo-pada 1942), zakończonyj klęską Ja-pończyków, poprzez inne zwycięstwa amerykańskie, którym towarzyszyło wypieranie Japończyków po kolei z wysp archipelagu Salomonów, poka-zał japońskiemu głównodowodzą-cemu wszystkie słabe strony jego fa-talnej decyzji sprzed roku. I dlatego śmierć Yamamoto była dla niego — nawet gdyby odrzucił japońską wia-rę, że śmierć żołnierska stawia po-ległego w rzędzie bogów — wyba-wieniem. Największe dążenie jego życia — dyktować pokój w Białym Domu — w świetle wypadków wy-głądowało na nieziszczalną mrzonkę, on sam — na chorobliwego maniaka. Amerykańska flota odrosła niczym feniks z popiołów i z kolei ona zaczęła zadawać niszczące ciosy. Z dwudziestu zatopionych względnie uszkodzonych w Pearl Harbour okrę-tów, 17 znajdowało się znów w lin-iu, w międzyczasie ukończona zo-stała budowa nowych okrętów. Dzia-łki tysięcy samolotów, człgłów i dział płynęło na front azjatycki, a front ten zaczął się przesuwac w kierunku Japonii.

Wiązki pocisków broni maszynowej amerykańskiej „Thunderboltów”, które zestrzeliły w kwietniu 1943 roku japoński samolot typu „Zero” z admirałem Yamamoto na pokładzie, zadały mu najlepszy o jakim mógł pomyśleć — coup de grace. Tokio miał triumfalnego wjazdu zwycię-stwa, jakiby go zapewne nie minął po dyktacie pokojowym w Białym Domu, sprawiło pośmiertnie miano-wanemu „wielkim admirałem” — u-roczysty pogrzeb.

Jerzy Pertek

**Drukowana w odcinkach „Dziś i Jutro” powieść
STANISŁAWA REMBEKA
„Wyrok na Franciszka Kłosa”
została już wydana w książce przez Wydawnictwo
E. KUTHANA — Warszawa — pl. Trzech Krzyży 12
Cena złotych 400.—
Wysyłka za zaliczeniem pocztowym po zamówieniu w Wydawnictwie**

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

Odpowiedzi Jakimiaka

KOCHANI PRZECIWNICY

Byłoby mi bardzo przykro, gdybyście mieli przypuszczać, że nie doceniam Waszych uwag, krytyki, celności przytyków, trafności epitetów, a nawet wrogoci, jaką przelawiliście w listach do Redakcji, czy w artykułach innych pism w stosunku do mej skromnej osoby. Takie wrażenie możnaby odnieść ze zbyt długiego milczenia z mej strony, które można uznać za oznakę lekceważenia, albo udanej lub rzeczywistej grubo-skórności, czy nawet i braku dowcipu, który potrzebuje dużo czasu do namysłu. Ołów tak nie jest. Winną tu trochę Redakcja, która uważa za ważniejsze inne listy, choćby najbardziej mnie dyfamujące (wie, że takie dają mi więcej satysfakcji, niż umieszczenie mych odpowiedzi). A głównie chodziło mi o zebranie jak największej ilości głosów, żeby odważyć pracę odpowiadania naraz i więcej o tym nie myśleć.

Ogólnie na wstępie chciałem Wam wszystkim gorąco podziękować. Czytaliście mniej więcej uważnie moje artykuły, nie zawsze je co prawda rozumiejąc, ale o to trudno mieć pretensję. Zostaliście pobudzeni do myślenia, a nawet czynów — i to nie raz bardzo gorących — napisania listów, dość żywych, by mnie podnieć do odpowiedzi. To jest życie. To cenę. Cenę nawet wrogoci, znacznie więcej od obojętności. Wróg daje zawsze satysfakcję, tę mianowicie, że jest kogo i za co walczyć, albo być walonym. Ktoś słusznie powiedział, że dla mężczyzny dwie rzeczy są najważniejsze na świecie: wojna i miłość. I ja nie jestem wyjątkiem od tej reguły. Pamiętam, że jeszcze w dzieciństwie lubiłem bitki, a szczególnie satysfakcją doznawałem, gdy miałem kilku przeciwników. Taką rzecz zdarzyła mi się raz nawet — wstyd mi się przyznać — po trzydziestce, gdy wdałem się w bitkę z czterema łobuzami. W takich wypadkach odnosi się zadowolenie, że, choć się więcej znacznie oberwało guzów, niż zadało, to jednak człowiek wytrzymał. I nie uciekł. Nie ma w wojnie, wydaje mi się, miejsca na nienawiść. Wojna jest skutkiem sporu o przekonania, głęboko przenikające zainteresowane strony, tak głęboko, że aż narażają swe zdrowie dla ich uzasadnienia. Samą zaś osobę przeciwnika szanuje się, a nawet czuje się do niego sympatię za to, że ma jednak jakieś przekonania i że się dla nich naraża. Gdy ojciec bije syna, to zawsze z miłości, ale zato bije mocno, jeśli chce spodziewać się skutków pożytecznych. Myślę, że i w moich odpowiedziach nikt nie wy-czuje nienawiści. Kogo się nienawidzi, to jest czuje odrazę, z tym się nie woiuje. Takiego mija się z daleka. Ale w wojnie, jak niniejsza, umysłowej, są środki bolesne, dotkli-wy, których użyć muszę, by były skuteczne. Co kto napisał, za to odpowiada. Za nic więcej. Myślę, że na nieuczciwość nigdzie sobie nie pozwoliłem. A więc nie weźcie mi za złe, czcigodni Przeciwnicy, jeśli Was pogniote, jak mówił gość hotelowy polując na płuskwy.

P. MAGDALENIE SAMOZWANIEC

Istotnie, odniosła Pani ten triumf, że przeczytałem do końca choć jeden Pani utwór. Ale ten utwór (list) nie miał nawet strony. Rozumiem, że mój artykuł mógł się Pani wydać nielogi. Jeden z Czytelników zapytywał przecież, dlaczego Panią chwalię za Jej komentarz. Ludzie rozmaicie rozumieją. Zresztą, ogólnie mówiąc, i ja mogę coś napisać nielogicznie. Jak mówił pewien mój przyjaciel, to się zdarza w nallepszych nawet rodzinach. I Pani, która według p. Dobięckiej, pochodzi z dobrej rodziny, zdarzyło się napisać za-

ny w rok. Ojciec licznej rodziny zro-bi za dziesięciu bezdzietnych, a oszczędzi na własnych wydatkach wszystko, co tamci zmarują w knaj-pach i kawiarniach. (Słyszał Pan, że w Sopotcie są tacy, co plać rachunki po 50 tysięcy za jedną kolację? Ile dzieci możnaby za to wychować, co się marnuje? Gdzie te pieniądze z takich zakładów idą? Czy wszystkie trafiają do Skarbu Państwa? Toż to jest pot i krew setek tysięcy robot-ników!). Dzieci to jest sprawa dla Państwa najważniejsza. Nie można z nich żartować. Zbywać byle czym. Nie dość je lubić. Trzeba dla nich jeszcze pracować i wyrekać się swych własnych zachcianek.

ad 3 — Sprawa dzieci nie jest ty-lko prywatną sprawą małżeńską, bo małżeństwo jest właśnie pot, by dzieci w ogóle istniały. Jest to spra-wa nawet kryminalna, nie tylko mo-ralności. Każde państwo (najostrej-ziej zaprzyjaźniona Rosja) wkracza w tę dziedzinę karząc dzieciobójstwo. Furtki, jakie sobie wywalczyli w ko-deksie dzieciobójcy, bynajmniej tego faktu nie zmieniają. Inaczej być nie może, boby ludzkość, nie tylko pań-stwa, rychło zgineła. To jest samo-obrona przed samobójstwem.

AD 4 — Drzy Pan na myśl o Pol-sce idiotów — itd. Tu dam Panu słówko pociechy, i dobrą radę. A więc Majdański i ja wcale nie pla-nujemy Polski, złożonej z członków Redakcji Szpilek. Jest to od nas da-lekie. Po tym pocieszeniu dobra rada. Samo drżenie nic nie pomoże. Jest ono z natury swej jałowe. Tu trzeba czynu. Jeśli Pan istotnie chce Polski złożonej w większości ludzi mądrzejszych niż ja, a więc takich jak Pan, mu-ci Pan pobić mnie moją własną bronią. Jeśli ja będę miał np. 10-cioro dzieci, niech Pan ma 15-cioro. Ale nawet w wypadku, gdyby Pan zaufał przewadze jakości i miał tylko 5-cioro, to i wtedy kobieta, która je będzie rodzić i chować, nie będzie tego czynić ani w kawiarni, ani na wiecach, czy t. p. Musi wrócić do domu. A to Pana u mnie mocno oburzyło.

ad 5 — Nikomu nie wmawiam swo-jej wyższości. Ale nie jestem na tyle fałszywie skromny, by nie być dum-ny z mojego ojca, który tyle do-konał swą uczciwością, moralnością i pracą. Być może, że i Pański ojciec wychował 7-mioro dzieci, ciężko pra-cował, oszczędzał i w ten sposób po-większył kapitał naródowy, kapitał najważniejszy. Jeśli tak, ma Pan pra-wo się nim pochwalić, a ja to uznaję i przyznam mu pierwszeństwo i wy-zszość. Ale jeśli Pan broni dzieci-obójstwa i wszystkiego co je powo-duje, a więc tchórzostwa, małości, wygodnictwa, strachu przed wysił-kiem i wyrzeczeniem, to — daruję Pan — wyższości przyznać Pańskim przekonaniom nie mogę.

KS. LORENZOWI

Tak, obecna wiejska kobieta nie jest, ogólnie mówiąc, godna takich pochwał, jakich jej nie szczędziłem. I ja to obserwuję, a co do księdza — ktoś zna równie stan dusz. Jak księ-ża, którzy spowiadają. Ale ja miałem na myśli wspaniałe baby sprzed lat trzydziestu, takie jak moja niebosz-ka matka. I wszystkie sąsiadki, baby z całej wsi, nie były nie ustępowały. 30 ohochników poszło do wojska w

1918 r. z mojej wsi rodzinnej, zapadłej, lichej, małej wioszczy. Obecnie wioska ta istotnie zmarniała, bo nie ma dzieci. Ale wydaje mi się, że na wsi jednak jest lepiej, niż w mie-ście. Tylko mi się wydaje, i jeśli mō-wię o wiejskiej kobiecie teraz, to ty-lko o takiej, która naprawdę ma du-żo dzieci.

P. ARIELOWI

Czuje się Pan dotknięty moim po-tępieniem jedynaków, bo Pan sam, acz pochodzi z licznej rodziny, jest ojcem jedynaka. A przecież nie przy-toczyłem nawet ludowego przysłowia, że z jedynaka to ni — itd. Proszę Pana, albo Pan więcej dzieci mieć nie może, albo nie chce. Sam jedyn-ak jest nie winien temu, że jest jedynakiem. Winni są rodzice, to zna-czy albo ich fizyczna natura, albo ich zła wola. Tylko złą wolę potępiam, idąc w tym za katolicką moralnością. Jeśli więc Pan więcej dzieci mieć nie może, to ja mogę tylko współczuć Panu i Pańskiemu synowi. Panu, bo ojcostwo Pańskie będzie ubogie, mi-nimalne. Nie zagna Pan pociechy bo-gactwa natur i temperamentów, któ-re skrzą się w liczny potomstwie. Synowi, bo, pozbawiony rodzeństwa, skazany jest na monotonię i nudę to-warzystwa starych rodziców, którzy go będą uwielbiać, pozbawiają go trudności życiowych, wyrobują w nim egoizm, nie pozwolą rozwinąć się samodzielnemu, zaradności itd. itd. To ostatnie zresztą nie jest konieczne, ale jest silną pokusą rodziców. Trze-ba wyjątkowej cnoty u rodziców, by dobrze wychować jedno dziecko. Je-li tak jest, jeśli Pan dzieci mieć nie może, to jak Pan może do siebie brać moje potępienie jedynaków? Ale je-śli Pan dzieci zabija przez stosowa-nie środków przeciw poczęciu, czy sztuczne poronienia, to trudno, biore na siebie cały ciężar Pańskiego gniewu nazywam to najokropniejszą zbrodnią przeciw Bogu i naturze.

P. S. — Jest dużo nieświadomości w sprawach świadomego macierzyństwa między czytelnikami. Dla-tego wyjaśniam, a raczej powtarzam, że Kościół Katolicki pozwala na unikiwanie zapłodnienia, ale tylko przez wysyskanie naturalnych u kobiety okresów niepłodności. Wymaga to pewnych, niedługich zresztą okresów wstrzymania się od pojęcia małżeń-skiego. Dokładny sposób stosowania tego każdy znajdzie w książce Geo-rge'a „Z tajemników pojęcia małżeńskie-go”. Sposób ten, ściśle stosowany, jest niezawodny. I Majdański i ja (może trochę za małą) pisaliśmy o tym. Zresztą ja, prywatnie, uznaję to tylko za ustępstwo dla ludzkiej słabości — choć dane przez Boga i po-twierdzone przez Kościół — bo dziś, gdy mamy taki wielki brak ludzi, po-winniśmy się mnożyć jak króliki. Pola-rycy powinni się rodzić na kamie-niach. Polska ziemia mogłaby wyżywić 300 mil. ludzi. Ziemia całego świata (gęstość zaludnienia 7 ludzi na km² — bustymia, jak mówi Majdański) mo-głaby wyżywić 200 miliardów i wię-cej. W objawieniu w La Salette Naj-świętsza Panna zapewnia nas, że gdy-byśmy żyli jak należy to żywność rosnaby na skałach. Skąd więc ten ped samobójczy, ta zaciekleść w zwalczeniu życia, ten przesądny, ob-lędny strach przed wysiłkiem zba-wiennym, strach, który wiedzie aż

do zbrodni, z narażeniem własnego życia i zdrowia? Nie mogę tego zrozumieć. Człowiek nie jest wart tyle, ile zje, ile warte jego ubranie, na-wet nie tyle, ile zarobi. Człowiek jest wart tyle, ile robi.

Z. Jakimiak

—o—o—o—

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W Nr 34 „Kuźnicy” ukazał się w dziale korespondencji, list niejakiego Dr Adama Rogaczewskiego z Sosnow-ca, przypuszczalnie bliskiego krewnego, jeśli nie bliźniaka, Dr Zajączkowski z Grójca. W liście tym Dr Rog. omawia przebrzmiały już konkurs „Odrodzenia”, wyrażając swe poglądy na obecnych pisarzy. Skoro „Dr” Rog. i „Dr” Zaj. mogą pisać i drukują ich listy, może i kilka uwag nie żaden „Dr”, lecz zwykły szary czytelnik na ten temat może wy-powiedzieć. A ponieważ mam duże wąt-pliwości, czy „Odrodzenie” zgodziło-by się na przytoczenie poglądu na dzisiejszą twórczość młodych i naj-młodszych szarego czytelnika, przeto list posyłam do „Dziś i Jutro”.

Jestem wielkim miłośnikiem ksią-zek. Mam dość zasobną bibliotekę. Po-za książkami z dziedziny naukowej mam w niej również i sporo beletry-styki np. Sienkiewicza, Prusa, Orze-szkowej, Sieroszewskiego, Weysen-hoffa, Daniłowskiego, Struga, Perzysł-skiego, Choynowskiego, Dąbrowskiej, Gojawicyńskiej, nawet o zgrozo Go-etla, mam również i książki Iwazkie-wicza.

Z poczci po za Kochanowskim i trójką naszych nieśmiertelnych, Ko-nopnicką, Gumulickiego, Or-Ota, Tejmajera, Staffa, z młodszych Wie-rzyńskiego, Słonimskiego, Tuwima (dawne) i wiele innych, piszących zrozumiacie i dających szaremu czytel-nikowi dużo rozkoszy i radości w odpoczynku przy książkach po cało-tygodniowej powszedniej pracy.

Dlatego wyliczam autorów? Dla-tego, aby wykazać, że mnie szarego czytelnika nie nie obchodzą poglądy polityczne, czy społeczne autora. Mnie jako konsumenta pięknej literatury obchodzi jedynie czy autor jest istot-nie pisarzem, jak to się mówi, z Bo-żej łaski, czy też rzemieślnikiem i czy daje mi tę pełnię wrażeń estetycznych przy czytaniu, której szu-kam w książce. A jeżeli nawet książ-ka zawiera w sobie takie poglądy au-tora, które mogą mi nie odpowiadać, to o ile jest napisana z talentem, pięknym językiem bez dziwotworów i pięknym stylem, również czytam ją z prawdziwym zadowoleniem.

Dlatego do swej biblioteki nie na-bywam prawie żadnej z obecnie na-pisanych książek. Bo nie przemawiają do mnie. Ani talentem, ani treścią. Bo wejdą one do literatury tylko w postaci wzmianki, że je napisano i to będzie cały po nich ślad w hi-storii polskiej literatury wg. mego czytelniczego sądu. Bo są one tylko wyppocinami mózgowymi i tyle mają z przedstawieniem prawdy ludzkiego bytu wspólnego, ile np. ostawiony Przybysz z prawdziwą poezją. Dlatego też i utworami dzisiejszych pseu-do poetów, piszących dla ułatwienia pisania asonansami i beztymnicznie, mogą się zachwycać tylko współ-udziałowcy kapliczek wzajemnej adoracji. Całą nowoczesną pseudo po-ezję można nazwać: „pustosłowiem”.

Jeżeli chodzi o okropności wojny, o czym wspomina Dr Rog. w swym liście, to my szary czytelnicy mamy dość tych makabrycznych opowieści, pisanych nie na tuzini, lecz na setki tysięcy w prasie codziennej i tygod-niowej oraz w książkach. Na miłoś-twierdzie Boskiej przestaniecie gmerać już w tych okropieństwach! Przecież myśmy wszyscy to przeżywali i chcemy odetchnąć po tym minionym kosz-marze, chcemy zacerpnąć z opowia-dań, z powieści, z wierszy nieco lep-szych doznań, świeżości, czaru, piękną przyrody i dobrych ludzkich uczuć, piękną życia przedstawianego nie tylko od strony najintymniejszych, fizjologicznych potrzeb, nie od stro-ny „wydźwięków” (nowoukuty brzyd-ko wonięjący wyraz), lecz życia ludzkiego, choćby twardego, lecz praw-dziwego, zdrowego. No i chcemy ksią-żek pisanych przede wszystkim z ta-lentem nie grafomańskich. Wówczas książki będą szły napewno, o ile pozwoli kieszeń szarego pracownika czy inteligenta.

Wydaje mi się, że z młodych pi-sarzy takie książki będą tworzyć Sta-nisław Rembek, Dr W. J. Grabski, Dobraczyński, może Breza, lecz w żadnym razie nie Brandys, Rudnicki i inni nie rozumiejący zupełnie po-trzeb czytelnika polskiego.

A. Zieliński.

Apel w sprawie powstańczych grobów

Komitet Rodzicielski Opieki nad Grobami Powstańców, szturmowego batalionu „Miotła”, prowadzi od chwili zaprzestania działań wojennych prace, związane z oto-czeniem należnym pietyzmem prochów poległych żołnierzy Warszawskiego Powsta-nia.

Niestety w pracy swej zdany jest jedynie na własne siły, które są katastrofal-nie nieproporcjonalne w stosunku do kosztów związanych z konserwacją grobów batalionu, na cmentarzu wojskowym. Wśród 140 mogił jest 60 z prochami niezna-nych poległych, a z pozostałych 80-ciu zaledwie 40-toma opiekują się rodziny. Reszta utzymywana jest z ofiarności publicznej. Panie: Kulesza-Przyborowska i M. Gromul-ska, jako przewodniczące Komitetu wyczerpały już wszystkie możliwości uzyskania niezbędnych na konserwację funduszy. Tymczasem potrzeby są ogromne. Darnio-wanie, kwiaty, opłaty cmentarne to tylko mała część koniecznych prac. W najbliż-szym czasie teren osadzony być musi drzewkami, gdyż w przeciwnym razie ulegnie zniszczeniu dotychczasowy wysiłek.

W związku z tym Komitet Opieki zwraca się do wszystkich, którym droga jest pamięć poległych żołnierzy A. K., o pomoc materialną. Redakcja naszego tygodnika otwiera listę składek na ten cel. Prosimy wszystkich naszych czytelników o prak-tyczne zainteresowanie się tą sprawą.

Wpłaty prosimy kierować na konto czekowe „Dziś i Jutro” P. K. O. nr I-727, z zaznaczeniem, że wpłata dotyczy Funduszu Opieki nad grobami Powstańców.

Redagują: Jan Dobraczyński i Bolesław Piatecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-38927